Cena 60 gr.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 24-31 grudnia 1950 r. | Nr 51-52 (265-266)

W ŚWIĘTO RADOŚCI KTÓRA ZOBOWIĄZUJE...

Na początku było Słowo. Słowo objawiło w wizji Proroka prawdę, która miała się stać. „Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazwą imię jego Emanuel — co się wykłada: „Bóg z nami" (Iz. 7, 14).

Słowo ciałem się stało. Panna poczęła i Syna porodziła i zamieszkał Bóg z nami. I wszystkie słowa od tej pory zmalały w obliczu Prawdziwego Zdarzenia, które ogromem swoim przerasta sens i wielkość wszystkiego, co jest.

Jeśli w dniach rocznicy wydarzenia betleemskiego, małe ludzkie słowa usiłują zawrzeć w sobie choć znikomą część prawdy, która stała się na oczach pasterzy z judzkiej krainy, jeśli ułomna myśl ludzka usiłuje ogarnąć ten bezmiar nowego świata, którego progiem stał się próg lichej, betleemskiej szopy, to przede wszystkim dlatego, aby rosła w nas wszystkich radość przeżywania nieskończonej dobroci Bożej, radość nieskończonego miłosierdzia Tego, Który Jest.

Po raz pierwszy jako człowiek narodził się tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt lat temu. Rodzi się od tej pory niezliczoną ilość razy. W każdym roku. Każdego dnia. Każdej godziny. W każdym pokoleniu. Jego nieskończona ilość narodzin jest nieskończoną ilością odrodzeń.

Dlatego rocznica faktu betleemskiego jest świętem wielkiej radości.

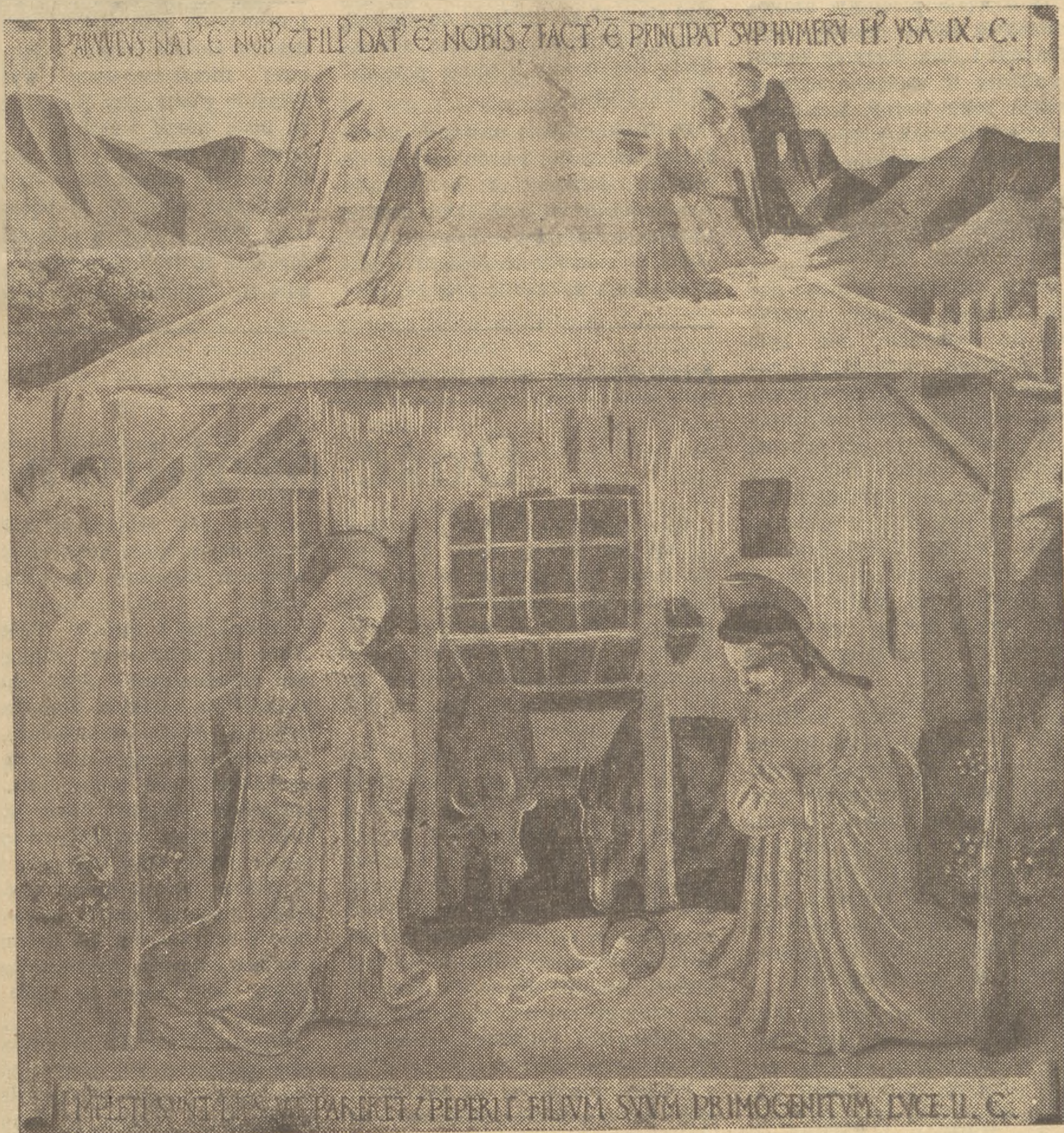
W dniu tej rocznicy łącząc się szczególnie gorącą modlitwą z całym Kościołem, przeżywając szczególnie mocno nasze uczestnictwo w życiu Mistycznego Ciała Chrystusa, szczególnie wyraziście musimy pojąć prawdę wypełniającej nas radości.

Prawda ta jest prawdą wielkich zobowiązań. Dziecko, które radośnie witało pasterzy i mądrych królów, zgiętych w pokornym pokłonie, Dziecko, które Matka musiała unosić w ramionach przed nienawiścią złego i głupiego monarchy, wyrosło na Młodzieńca, który nauczał w odważnej dyskusji, na Męża, który z garstką najbliższych zrewolucjonizował świat, jego filozofię i wiedzę o życiu, na Męża, który zginął, aby świat zbawić, na Męża, który zmartwychwstał i pozostał z nami w ustanowionym przez Siebie Kościele.

Jego życie organizuje życie nasze. Organizuje i określa naczelną zasadą: zasadą moralnej odpowiedzialności za wszystko co było, co jest i co będzie. Realizowanie tej zasady daje najpełniejsze prawo do radości, jaką niesie każda rocznica betleemska.

Każda rocznica betleemska tym wyraziściej przypomina ową zasadę.

Szewc i artysta, nauczyciel i zecer, murarz i traktorzysta, dziennikarz i muzyk, każdy człowiek, który cieszy się świętem Bożego Narodzenia, gdziekolwiek jest i jakikolwiek jest, zda sprawę przed Panem. Po to On przyszedł i po to nauczał, dlatego cierpiał, zginął i zmartwychwstał.



Fra Angelico: Narodziny Jezusa

Według największej miary swoich sił i możliwości, według najszerszej skali swoich pragnień i umiłowań każdy z nas odpowiada za wszystko. Za złe buty i złe książki, za złe lekcje i źle złożoną szpaltę, za złą zaprawę murarską i źle zaorany zagon, za zły artykuł i złe wykonanie jednej partytury — za każdy błąd, który jest naszym błędem, chociaż popełniła go inna dłoń, czy inny mózg.

Musimy być we wszystkim, bo odpowiadamy za wszystko. Odpowiedzialność nasza jest najpiękniejsza i najbardziej zobowiązująca, bo jest odpowiedzialnością przed największym i najbardziej wymagającym Panem, którego widzimy nie tylko ponad nami, ale i czujemy w nas.

Nikt z nas nie widzi jak w drugim żyje Chrystus. Nikt z nas nie zbada jak drugi człowiek realizuje zasadę naszej wspólnej odpowiedzialności. „Przeto każdy z nas z samego siebie zda sprawę Panu". (Rzym., 14, 12). Ale każdy z nas w sobie musi mieć cały świat. W tym przeżywaniu i rozumieniu świata nie może być podziału na szewców i artystów, na zecerów i nauczycieli, na tych, co robią fundamenty i tych, co zwożą cegły. Chrystus przyszedł zbawiać wszystkich, nakazał kochać wszystkich, zobowiązał nas do odpowiedzialności za wszystkich.

Nie poniósłby ciężaru tej odpowiedzialności człowiek samotny. Dźwignie ją tylko chrześcijanin zespolony w jedno z Mistycznym Ciałem Chrystusa. Jemu wierny, Jemu służący, z Nim związany — święcić może najpełniej betleemską rocznicę radości, która jest jednocześnie przypomnieniem naszych najważniejszych zobowiązań.

W zespoleniu radosnym z całym Kościołem modlimy się dzisiaj słowami przepięknej Kolekty!

„Da nobis quaesumus, omnipotens Deus: ut, qui nova incarnati Verbi tui luce perfundimur: hoc in nostro resplendeat opere, quod per fidem fulget in mente".

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia wszystkim Czytelnikom, Przyjaciołom i Sympatykom moc serdecznych życzeń przesyła

REDAKCJA

Alfred JEŻ

Z dziejów drugiej wojny światowej

Druga wojna światowa ma już pokaźną literaturę, ograniczającą się przeważnie do chronologicznego przedstawiania poszczególnych faz wojny, która toczyła się kolejno lub równocześnie w Europie lub na Dalekim Wschodzie. Wydane w roku 1947 dzieło generała L. M. Chassina „Histoire militaire de la seconde guerre mondiale". — (Payot, Paryż) posługuje się mniej więcej tą samą metodą. Szkicuje przebieg danej kampanii, zaopatrując go od czasu do czasu w zwięzłą charakterystykę sytuacji lub zdarzeń, które ową kampanię poprzedzały.

Pozostawiając właściwą ocenę tej pracy siłom fachowym, sprawozdanie niniejsze zajmie się tylko pytaniem, co gen. Chassin sądzi o kampanii polskiej, o udziale ochotniczych formacji polskich pod Narvikiem we Francji, Afryce i we Włoszech i jaka jest jego opinia o armii Związku Radzieckiego?

Opis wojny polsko-niemieckiej obejmuje siedem stron. P. Chassin pisze m. in. „Armia polska miała istotną wartość militarną i doskonałego ducha. Materiał wojenny piechoty był znakomity, lecz artylerii — przestarzałej—zbywało na ciężkich działach, na D.A.C. i na amunicji, a przede wszystkim nie miała ona odpowiedniej broni pancernej i obsługi samolotowej. Artyleria rozporządzała zaledwie jedną zmechanizowaną dywizją, a sztaby nie miały widocznie pojęcia o rezultatach, jakie może dać masowy nalot".

O „zajadłej" obronie w trójkącie Łódź - Kutno - Warszawa wyraża się autor z uznaniem, tak samo o kawalerii, „której działalność byłaby z pewnością bardziej skuteczna, gdyby pogoda nie sprzyjała tak wytrwale nieprzyjacielowi".

Wymieniając z kolei chwilowe zajęcie przez wojska sprzymierzone Narviku, autor zaznacza tylko, że „był to wspólny wysiłek oddziałów norweskich, francuskich i polskich".

W opisach walk powietrznych o Londyn, kampanii libijskiej, zdobywaniu Tobruku, nie spotyka się zupełnie śladu naszego tam współdziałania.

O walce Polaków pod Monte Cassino gen. Chassin wspomina tylko, że Polacy uzupełnili okrążenie Cassino, zainicjowane przez Anglików! Każdego fachowca zdziwi tylko, dlaczego tylu żołnierzy polskich poległo przy owym okrążeniu? Wszak na przedpolu klasztornym bieli się takie mnóstwo krzyży polskich, a tak mało grobów francuskich, Hindusów i Brytyjczyków, którzy opłacili życiem zdobycie tej fatalnej zapory, jaką tworzyły najeżone artylerią forty niemieckie w miasteczku i na wzgórzu klasztoru na Monte Cassino.

I jeszcze jedną krótką wzmiankę znajdujemy z okazji powstania warszawskiego: „Patrioci warszawscy podnieśli sztandar rewolty i rozpoczęli 1 sierpnia rozpaczliwą walkę, która trwała do 1 października". Natomiast ruchom oporu na Słowaczyźnie, w Jugosławii i Francji poświęcił autor kilka dłuższych ustępów. Widocznie nasze wysiłki nie pozwalające Niemcom w latach krytycznych na ogołocenie Polski z wojsk regularnych, tak bardzo im na innych frontach potrzebnych, nie były dosyć skuteczne!

A jaka jest opinia gen. Chassin o armii radzieckiej? „Zaraz z samego początku wojny radziecko - niemieckiej — pisze on — „zmotoryzowane oddziały niemieckie parły naprzód wzdłuż linii kolejowych, nie troszcząc się o umocnienia radzieckie, prześcigając armię radziecką, podobnie jak czyniły to we Francji, gdzie wywoływały wszędzie rozprzężenie. Otoczone oddziały radzieckie nie poddawały się. Przeciwnie. Atakowały one masy piechoty idące za czołgami niemieckimi i zmuszały je do obrony. Nie uznawały się nigdy za zwyciężone i przechodziły zawsze, gdzie tylko mogły do kontrataku. Udawało im się też często przełamać pierścienie otaczającego ich ognia, a atakując skrzydła niemieckich oddziałów zadawały im poważne nieraz straty. Stosując wreszcie taktykę zupełnego wyniszczania terenu pozbawiały Niemców tak upragnionego przez nich łupu".

„Ów wspaniały opór nie cofający się przed żadną ofiarą był ponadto sygnałem rewolty we wszystkich krajach przez Niemców okupowanych.

Głównodowodzący armii radzieckiej Józef Stalin ogłosił 19 października 1941, że „Moskwa będzie broniona do ostatniej kropli krwi".

Rozkaz ten, jak pisze gen. Chassin, został spełniony. Sytuacja była zrazu rozpaczliwa. 13 dywizji pancernych, 5 dywizji zmotoryzowanych 33 dywizje piechoty atakowały Moskwę, której broniło ogółem 7 armii i dwa korpusy kawalerii. Straty w czołgach były w pierwszym roku wojny tak duże, iż niektóre jednostki radzieckie były ich niemal pozbawione.

Lecz Niemcy, którzy głosili, iż zajmą Moskwę przed zimą 1941/42, nie zaznali chwili spokoju.

„W owym dramacie — pisze dalej gen. Chassin — który rozgrywał się na wschodzie, nie było przerw. Zaledwie rozpoczął się zalew niemiecki, już wojska radzieckie odpowiedziały nań kontratakiem. Wykorzystywały swą większą odporność na mrozy oraz lichy ekwipunek Niemców i przede wszystkim niemożność posługiwania się czołgami. Sporadyczne radzieckie uderzenia na sektorach daleko od siebie położonych, które współmiernie nękały wroga, uwalniały zajęte tereny i oddalały grożące niebezpieczeństwo".

„Manewrowanie armii radzieckiej pod naczelnym dowództwem Józefa Stalina — polegało na ciągłym okrążaniu Niemców przeprowadzanym w tym samym klasycznym stylu, który oni stosowali w roku przeszłym. Rozpoczynając każdy taki manewr Rosjanie ujawniali swe mistrzostwo w umiejętności rozkładu sił, które zdumiewało nawet ich przeciwników".

Walka o Stalingrad opisana jest bardzo dokładnie. Autor porównuje ją z Verdun, z tą różnicą, że: „żadna ze stron wojujących nie wybierała właśnie Stalingradu jako miejsca starcia. W planach niemieckich Stalingrad miał być tylko epizodem. Było to widocznie przeznaczeniem, że bitwa ta wysunęła się na pierwszy plan całej wojny. Opór miasta stał się symbolem".

Oblężenie zaczęło się 28 lipca 1942 i trwało do 2 lutego 1943 „Obaj przeciwnicy maszerowali przez wypalone słońcem stepy, wśród wzajem wzniecanych pożarów. Każdy wąwóz czy pagórek zamieniali żołnierze radzieccy w cytadelę, zakładali pola minowe, kozacy w szalonych szarżach atakowali czołgi i obrzucali je palącymi się butelkami benzyny, bataliony śmierci szarpały tanki, walczyły z granatami przywiązanymi do ciał i spontanicznie powstawały armie robotników, aby bronić swego miasta".

Hitler szalał z gniewu. Wezwał gen. Paulusa i nakazał mu „zatrzymanie się za wszelką cenę na zajętych pozycjach. Był to błąd najcięższy. Trzeba było wycofać się natychmiast, bo siły przeciwnika rosły z dniem każdym". „Czołgi radzieckie stały się najlepszymi w świecie — pisze gen. Chassin — ich uzbrojenie i aparaty radiowe były doskonałe. Lotnictwo zaczęło również konkurować zwycięsko z niemieckim. „Stormowiki" stały się groźnym przeciwnikiem czołgów niemieckich, zaś w dziedzinie strategii sztaby radzieckie wykazały nie tylko skuteczną szerokość spojrzenia, lecz umiały być zawsze panem sytuacji. Potrafiły także kierować olbrzymimi masami ludzi i atakować ustawicznie cały front następującymi po sobie szybko uderzeniami, które nie pozwalały nieprzyjacielowi na przesuwanie wojsk z sektorów spokojnych na sektory zagrożone. Pod względem taktyki armia radziecka stała, jak twierdzi autor, na równi z Wehrmachtem. „Sztab niemiecki popełnił też wielki błąd nie doceniając należycie swego przeciwnika".

Gdy Stalingrad upadł, a zamianowany marszałkiem Paulus dostał się z 22 generałami do niewoli, świat odetchnął. „Widmo straszliwej hegemonii Niemiec przestało mu grozić".

Po Stalingradzie nastąpiło uwolnienie obleganej i broniącej się do ostatka Moskwy i Leningradu i odzyskanie niemal całej zeszłorocznej zdobyczy terytorialnej. „Lecz te sukcesy są niczym w porównaniu z wykazaną przy tej sposobności wysoką wartością sztabów, armii i materiału wojennego. Niemcy hitlerowskie sądziły, że Sowiety potrafią tylko dawać się zabijać, opłaciły też krwawo swoją pomyłkę. Żołnierz radziecki wzbudził podziw świata swoją odwagą i wytrzymałością, przemysł wojenny ZSRR wykazał również wielkie zdolności wytwórcze".

„W zimie 1942/43 armia radziecka ujęła w ręce inicjatywę i już jej więcej nie popuściła. Pądząc przed sobą broniące się zaciekle wojska niemieckie, dowódcy, wśród których autor wielokrotnie wymienia z uznaniem nazwisko gen. Rokossowskiego, uwolnili w lecie 1943, 38.000 miejscowości i 162 miast, oraz rozbili 134 dywizje niemieckie".

Lecz Niemcy były jeszcze silne. Armię Radziecką oddzielało od Berlina 1150 km. Trzy czwarte Europy było w rękach hitlerowców. W maju 1944 Wehrmacht liczył 321 dywizji, 45 tysięcy czołgów, poza tym 89 dywizji „satelitów", rekrutowanych na Węgrzech, w Bułgarii, Rumunii, Finlandii, we Włoszech i na Słowaczyźnie.

Pisząc o tych nieustannych sukcesach armii radzieckiej autor zaznacza, że „w batalii nad Wisłą" i ofenzywie galicyjskiej „armia radziecka złożyła jeszcze jeden dowód swej niezaprzeczonej wyższości. Właśnie wtedy, gdy Niemcy sądzili, że będą mogli wytchnąć i zebrać nowe siły, wyrastały jak spod ziemi zastępy radzieckie, zadające im najcięższe straty". Z początkiem roku 1945 „ofensywa radziecka obmyślona w najdrobniejszych szczegółach, zdumiewała rozmachem swej koncepcji, zręcznością a jaką strategia stalinowska potrafiła manewrować tak olbrzymią masą czołgów, artylerii i piechoty". Rozwiązano również zwycięsko bardzo trudny problem aprowizacji i dostaw, organizując specjalne oddziały techniczne, naprawiające zniszczone linie komunikacyjne i mosty".

Hitlerowski sen o potędze kończył się coraz tragiczniej. Trzymane w żelaznych kleszczach przez ofensywę radziecką na Wschodzie, Niemcy nie mogły oprzeć się na Zachodzie zwycięskiemu marszowi wojsk sprzymierzonych. 25 kwietnia 1945 roku o godzinie 16.40 patrol amerykański 69 dywizji piechoty z porucznikiem Williamem Robertsonem na czele spotkał się na moście w Torgan z porucznikiem Selwaszko, prowadzącym patrol radziecki 58 dywizji piechoty gwardii.

27 kwietnia komunikat wojenny państw sprzymierzonych stwierdził, że Niemcy są rozbite. Nie było już frontu zachodniego, ani wschodniego. Nastała tylko era końcowa rozbijania poszczególnych, otoczonych już korpusów niemieckich. 2-go maja rozkazem dziennym Nr 359, wódz naczelny zwycięskiej armii Józef Stalin ogłosił upadek Berlina. Ostatni szef sztabu Wehrmachtu gen. Krebs, tylokrotny zapowiadacz zwycięstwa i panowania Niemiec nad Europą, Goebbels i główny winowajca tej szaleńczej wojny, Adolf Hitler, ukarali się sami, popełniając samobójstwo.

Alfred Jeż

NOTATNIK POLITYCZNY

Dość osobliwa jedność

Od konferencji Truman—Attlee upłynął już pewien okres. Pisaliśmy na temat tych rozmów w poprzednim notatniku politycznym. Obecnie chcemy powrócić do pewnego szczegółowego zagadnienia związanego ze spotkaniem anglosaskich mężów stanu. Chodzi o sprawę jedności tzw. świata zachodniego.

Premier Atlee zdążył już po powrocie z Waszyngtonu złożyć sprawozdanie z rozmów przed rządem a potem przed parlamentem brytyjskim. Znane są także opinie całego świata na temat ostatniego spotkania. Nie ulega dla nas wątpliwości, że zgodnie ze sprawozdaniem premiera brytyjskiego osiągnięto w pewnym zakresie jedność stanowisk. Dotyczy ono dalszego kontynuowania awantury koreańskiej i dalszego powiększenia sił zbrojnych.

Jedność osiągnięto, ale jedność to dość osobliwa. Wiemy, że Attlee udał się do Stanów Zjednoczonych pod presją własnego społeczeństwa i parlamentu zaniepokojonego znanym oświadczeniem Trumana o ewentualności użycia bomby atomowej.

Premier brytyjski powrócił do kraju ustąpiwszy wobec presji rządu USA. Tamta presja więcej znaczyła dla premiera Atlee niż presja postulatów własnego narodu. Rząd Stanów Zjednoczonych osiągnął nowy atut w grze o podporządkowanie swej polityce linii imperium brytyjskiego. Nie trzeba dowodzić, że praktyki te nie są zbyt bezpieczne dla imperium brytyjskiego, które i tak w wyniku drugiej wojny światowej i spontanicznych ruchów wyzwoleńczych trzeszczy w posadach. Rząd angielski ulegając presji Trumana udowodnił jeszcze raz, że podobnie jak rząd USA wyrzekł się swego podpisu pod deklaracją kairską i poczdamską, które stwierdzały przynależność Formozy do Chin Ludowych.

Komunikat z rozmów Trumana i Atlee nie mógł ukryć różnicy między Anglosasami, jeśli chodzi o zagadnienie chińskie. Serwilistyczna polityka rządu brytyjskiego musi jednakże liczyć się z własnym społeczeństwem, które wnosi coraz więcej sprzeciwów. Premier Attlee w swym sprawozdaniu z rozmów przyznał istnienie różnic. Rząd brytyjski uważa, że trudno nie uznawać chińskiego rządu ludowego skoro sprawuje on władzę nad wielkim 475 milionowym narodem chińskim. Awanturnicza polityka amerykańska w ogóle się z tym nie liczy.

Premier brytyjski podkreślał różnice dzielące w tej sprawie oba kapitalistyczne kraje. Trzeba tylko wyjaśnić, że ta różnica w stanowisku brytyjskim dość mało znaczy w praktyce. I tu presja amerykańska jest silniejsza. Bo przecież ten sam rząd Wielkiej Brytanii, który uznał chiński rząd ludowy, poparł na konferencji Truman—Attlee imperialistyczne i agresywne wobec Chin zamiary i praktykę Stanów Zjednoczonych akceptując dalszą agresję na Korei, godząc się na amerykańską interwencję i okupację chińskiego Taiwanu (Formozy).

Rzeczywiście, jedność wśród Anglosasów to jedność osobliwa. Polega ona na uleganiu coraz powolniejszej Anglii coraz brutalniejszej Ameryce. Rozdźwięki między Anglosasami istnieją. Rodzą się one przede wszystkim z protestu społeczeństwa brytyjskiego przeciwko szaleńczej, wojennej linii Amerykanów. Jednak serwilistyczny rząd brytyjski nie jest w stanie realizować żadnej niemal polityki samodzielnej. Na tle tej swoistej jedności dwóch głównych krajów kapitalistycznych szczególnie wyraźnie rysuje się pewien znamienny incydent. Oto generał Franco, dyktator faszystowskiej Hiszpanii zażądał ostatnio od Wielkiej Brytanii zwrotu Gibraltaru. Generał Franco oświadczył przy tym, że jego zdaniem Gibraltar stracił swoje polityczne znaczenie strażnicy basenu morza Śródziemnego. Podkreślił on też, że wstępu na ten teren broni nie Gibraltar, ale narody całego półwyspu iberyjskiego. W zakończeniu Franco wyraził nadzieję, że rządowi brytyjskiemu będzie bardziej zależało na przyjaźni narodu hiszpańskiego niż na posiadaniu Gibraltaru.

Sam incydent dość niepoważny, równie jak jego twórca, charakteryzuje jednak sytuację imperium brytyjskiego. Nie należy zbytnio przesadzać w wiązaniu pretensji gen. Franco z rozdźwiękiem między USA a Anglią, jednakże dyktator hiszpański mający sam wiele gospodarczych i niegospodarczych kłopotów, zapewne nie dokonałby tego antybrytyjskiego posunięcia politycznego, gdyby nie miał żadnych argumentów politycznych wskazujących, że dla stawiania takich kwestii nadeszła dogodna pora.

Jedność świata kapitalistycznego w służbie celom agresywnym i militarnym jest faktem. Tylko, że jedność ta sprawia czasem kłopoty zaangażowanym w nią krajom, Amerykanie są bardzo bezwzględni w realizowaniu swych celów. Trzeba jednak pamiętać, że wzrastające dziś protesty społeczeństw w krajach zachodnich to dopiero początek. Protest ten będzie rósł i potężniał.

Tadeusz KORDYASZ

VIRGO MATER



Obraz z kościoła w Gościeszynie

„Bóg, Król Wszechświata dał Tobie rzeczy, które są ponad naturą. Jak w porodzie zachował Twe dziewictwo, tak w grobie uchronił od zepsucia Twe ciało, aby boską mocą przenieść je do chwały".

z Liturgii Bizantyjskiej.

I.

Tramwaj rozruszał się. Z rumorem i zgrzytem zjeżdża w dół ulicy, a my, uczepieni metalowych rączek trzymaków, chwiejemy się na obie strony. Zagubiony w ciasno zbitym tłumie bezmyślnie patrzę przed siebie. Wzrok mój przywiera do dłoni, wzniesionej do góry tuż na poziomie moich oczu. Wygląda tak, jakby jej właściciel głosował za czymś uparcie. Jest biała i porysowana błękitnymi żyłkami. Sposób ułożenia szarego kapelusza coś mi przypomina. Pasażer odwraca głowę ku oknu i widzę jego profil. Drgnąłem. Zupełnie podobny do przyjaciela, którego odwiedzałem kilka dni temu na cmentarzu! W myśli odmawiam jeszcze jedno „Zdrowaś" i „Wieczny odpoczynek".

Sobowtór mego przyjaciela już przepchał się na przedni pomost. Rączkę trzymaka chwyciła inna dłoń: tłusta i czerwona. Jazda mnie nuży. Deszczem ociekająca szyba tramwaju, myśl o pracy, która jeszcze w domu czeka, przejmuje mnie przygnębieniem. Stoimy długo na skrzyżowaniu. Zazdroszczę pani w brązowym berecie, co siedzi przy oknie i czyta gazetę. Czytam wraz z nią:

WNIEBOWZIĘCIE N. MARYI PANNY DOGMATEM WIARY

„W tych dniach ogłoszony został nowy dogmat maryjny..."

Już o tym wiem. Palto grubasa, którego dotykam prawie nosem, cuchnie brzydko. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić treść odczytaną. Idzie mi to opornie. Realizm otoczenia pęta mnie. Osacza gwarem, zapachem, dotykiem. Tak trudno sobie wyobrazić, że w tej samej chwili istnieje ciągle żywa, z duszą i ciałem Najpiękniejsza z niewiast, które chodziły po tej samej ziemi, a która zasnęła w Bogu na dwa tysiące lat przed moim przyjacielem... że w tej chwili oczy jej z macierzyńską troskliwością spoglądają na mnie... Zdumiewające.

Na przekór wszystkiemu wyobrażam to sobie. Mam obowiązek to sobie uprzytomnić. To już przecież dla mnie nie pobożne życzenie. Nie — dozwolona, urzekająca wizja. Dogmat wiary. Prawda, objawiona przez samego Boga. Kryterium tej prawdy — mocniejsze i skuteczniejsze od wszelkich innych. Gwarantuje mi pewność absolutną. Odrzucenie realności tego faktu przekreśliłoby mnie, jako człowieka wiary. Zostałbym odcięty od drzewa Kościoła, jak uschła gałąź.

II.

A jednak Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny z duszą i ciałem nie jest dla mnie dogmatem trudnym do przyjęcia.

Nie jest przede wszystkim jakąś nieoczekiwaną, zaskakującą nowością. Święto Wniebowzięcia — to jedno z najstarszych świąt, aprobowanych przez Kościół już w VI-tym wieku. Z dawien dawna istnieje wielka ilość kościołów pod wezwaniem Wniebowzięcia. W sztuce kościelnej, w liturgii i poezji maryjnej prastary ten temat powtarza się wielokrotnie. Dogmatyczne jego określenie poprzedziła ustna tradycja, przekonanie utrwalone w umysłach wszystkich chyba wiernych, którzy od wieków odmawiając różaniec rozważają tę tajemnicę.

Teologiczne uzasadnienie znajdujemy w pismach pierwszych Ojców Kościoła. Sam dogmat zarysował się dość wyraźnie już sto lat temu w encyklice Piusa IX-go, ogłaszającej dogmat Niepokalanego Poczęcia. Od tego czasu nieprzerwaną strugą płynęły do Rzymu ze wszystkich stron świata katolickiego petycje o przypieczętowanie powszechnego mniemania nieomylnym wyrokiem najwyższego autorytetu w rzeczach wiary. Wybitni teologowie gruntownie rozpracowali zagadnienie. Z ich prac powstały całe tomy.

Katolik wierzy, że Bóg jest Ojcem Wszechmogącym. Katolika cechuje gorące nabożeństwo do Bożej Matki. Oddaje on Jej cześć mającą coś boskiego. Wie, że jest Ona wyniesiona ponad wszystkie istoty, tak bliska Bogu, jak tylko to jest możliwe dla stworzenia, wspaniała, można, nieograniczona prawie w możliwościach.

Katolik pamięta, że Jezus przyszedł do nas przez Maryję i przez Nią też wiedzie droga powrotna. Modlitwa do Maryi jest dla niego kształtem modlitwy do Jezusa, a naśladowanie Jej cnót — szkołą życia Bożego. Bo Maryja jest wiernym echem Chrystusa. Gdy zawołamy: Maryjo! — echo odpowie zawsze: Jezus, Bóg.

Dla katolika więc ogłoszenie dogmatu Wniebowzięcia jest wydarzeniem normalnym, uroczystością oczekiwaną, świętem radosnym i swojskim.

III.

Wiele przecież trzeba, aby swojskość tej prawdy wiary nie była wyrazem taniej dewocji, bezmyślnego spoufalenia z tajemnicą, pewnego rodzaju pobłażliwej obojętności na wielkie sprawy Ojca, który jest słodki i straszliwy w działaniu.

O ile, wedle zdania Tacyta, „wielką częścią mądrości jest nie rozumieć pewnych rzeczy", o tyle wielką częścią pobożności jest zdumiewać się ciągle powszednim chlebem Prawdy. Zdolność tego zapładniającego podziwu posiadają ci, którzy prawdę wiary traktują na serio. Dzieje się to wtedy i tylko wtedy, gdy z tej prawdy wyciągamy wszystkie praktyczne konsekwencje w każdej chwili życia. Mogę sobie zaledwie wyobrazić szczęście człowieka, który tak czyni.. I myślę, z jak potężnym zdumieniem taki człowiek wita co rano prawdę, oddaną mu na codzienny użytek i którą ma obowiązek miłować ponad wszystko. Ukazuje mu się ona wciąż w nowym kształcie i otwiera przed nim coraz to przepaścistsze głębie.

Maryja Niepokalana. Matka Boska. Tak bliska modlitwom przez swą osobę ludzką, niewieścią, przez macierzyństwo, przez cichość, przez ból. I tak niepojęcie wielka. Tak niesłychanie tajemnicza. Można powiedzieć, że bardziej tajemnicza niż sam Bóg. Samo imię Jej jest paradoksem.

M a t k a B o s k a. Kobieta z krwi i kości, która urodziła — Boga. Poczęta po ludzku z woli mężczyzny, podległemu ziemskim pożądaniom, jest poczęta niepokalanie. Żona cieśli z Nazaretu jest zapłodniona przez Ducha Św., przez którego staje się krewną Najświętszej Trójcy. Rodzi Syna, który jest twórcą własnych narodzin. Staje się matką nie przestając być nigdy dziewicą; Syn jej jest zarazem człowiekiem i Bogiem. Mogąc grzeszyć, nie popełnia najmniejszego grzechu. Będąc skończonym stworzeniem, mieści w sobie wszystkie łaski Boga. W chwili śmierci ciało Jej nie ulega rozkładowi. Umiera i nie rozstaje się z ciałem. Cielesna a przewodzi hufcom czystych duchów, o naturze wyższej niż ludzka. Skromna, nikomu nieznana dzieweczka z żydowskiej mieściny staje się władczynią dusz, Królową wszechmożną w orędownictwie. Z Jej głosem liczy się Sam Bóg.

Ta niezwykła istota, która odegrała tak kapitalną rolę w Dramacie Odkupienia, została naturalnie pomyślana przez Boga przed wiekami wieków. Bóg zdradził się ze swymi zamiarami już na progu Raju, z którego wypędził upadłego Adama. Wtedy już rzekł do ducha ciemności: „Położę nieprzyjaźń między tobą, a Niewiastą i między nasieniem twoim, a nasieniem Jej. Ona głowę twoją zetrze".

Na próżno jednak próbujemy odnaleźć godne tej roli miejsce w natchnionej przez Boga księdze, która jest poświęcona wyłącznie życiu Jej Syna. Jest to zdumiewające, ale można powiedzieć, że Ewangelia nie tyle m ó w i o Kobiecie, z której się narodził Bóg — Człowiek, ile raczej Ją p r z e m i l c z a. Na kilkaset stron zaledwie kilka Ją nam ukazuje. I ukazuje jak? W głębokim cieniu. Poza narodzinami, w których wystąpienie Jej było rzeczową i historyczną koniecznością, nie widzimy Jej prawie. Tu i ówdzie ewangeliści rzucają mimochodem powściągliwe wzmianki. Boski Syn tytułuje Ją po prostu — „niewiastą", na równi z innymi niewiastami. Gdy zdyszana odnajduje Go w świątyni, gasi Jej macierzyńską wymówkę surową uwagą: „Cóż z tego żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, potrzeba, żebym był?" Na dobitkę ewangelista śpieszy z komentarzem: „a oni nie zrozumieli tych słów..." Czyni to Łukasz, najlepiej poinformowany, największym pietyzmem odznaczający się historiograf Maryi.

Z głębokiego cienia wynurza się czasem Matka Słowa. W Kanie Galilejskiej ujmuje się za biesiadnikami, którym zabrakło wina. Drobiazg mało znaczący. Syn spełnia prośbę Matki jakby niechętnie, prawie strofując Ją za zbytnią natarczywość. Dowiadujemy się jeszcze z innych wzmianek, że nie opuszcza Go w apostolskich wędrówkach, idzie w trop za Nim, starając się trzymać w Jego pobliżu.

I oto zapewne stęskniona i stroskana odnajduje Go gdzieś w małej wioszczynie Galilejskiej, gdzie przez wiele godzin, oblężony tłumem ludzi, głodny i zmęczony pocieszą znękanych, uzdrawia, naucza, ogłasza Królestwo. Maryja nie ma siły przepchać się przez tłum. Posyła ucznia z zawiadomieniem, że jest tuż, że pragnie się z Nim zobaczyć. Ale On nie wychodzi z domu na Jej spotkanie. Przybycie Matki natomiast zużytkowuje jako temat do następnej nauki, streszczonej w słowach: „Kto jest matką moją i braćmi moimi? Oto matka moja i bracia moi. Ktokolwiek czyni wolę Ojca mego, kto słucha Słowa Bożego i wykonuje je, ten bratem moim i matką moją jest". Wspaniała i pocieszająca lekcja dla nas. Ale dla Tej Jedynej, rzeczywistej Matki, która została za drzwiami?



Albrecht Dürer: Wniebowzięcie N. M. Panny

Widzimy Ją również w ostatnim akcie dramatu, na Górze Trupiej Głowy. Z krzyża spadają ostatnie słowa Konającego. Ostatnie pożegnanie Syna z Matką: „Niewiasto, oto syn twój." Poleca Jej opiece umiłowanego ucznia. To wszystko.

A teraz wyobraźmy sobie scenę jedyną w historii świata, scenę Zwiastowania, które stanowi pierwszą tajemnicę różańcową. Scenę, opiewaną przez chrześcijańskie poematy, malowaną przez wybitnych artystów, rzeźbioną w kamieniu na ścianach wielu kościołów i starożytnych katedr.

Wydarzenie przełomowe, które zmieni bieg historii. Wypełniają się się czasy, urzeczywistniają proroctwa. Po tysiącach lat oczekiwania Bóg przybliża się do swego ludu. Syn Jego odwieczny zstąpić ma wreszcie na ziemski padół, wcielić się w człowieczeństwo.

Do ubogiego domku w Nazarecie puka posłaniec Boży. Otwiera mu drzwi prosta, nikomu nieznana dzieweczka, spędzająca wolny czas od ciężkiej pracy na modlitwie. Zapewne nie pamięta, że w żyłach jej płynie krew podupadłego rodu królewskiego i na pewno nie wie o tym, że jest pełna łaski, gdyż zatrwożyły ją słowa gościa. Te słowa, które powtarzane będą odtąd do końca świata przez miliony ludzi: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami". Nieznajomy, nie dając jej ochłonąć ze zdziwienia, natychmiast zapowiada, że ona właśnie porodzi Tego, na którego od wieków oczekuje lud Izraelski i cała ludzkość, Mesjasza, Syna Boga Najwyższego.

Według tradycji żydowskiej, w której była wychowana Maryja, Mesjasz miał się narodzić w miejscu nikomu nieznanym i zaiste na wielką próbę została wystawiona w tym momencie Jej skromność i pokora, a nikt z nas ocenić nie zdoła, na jak wielką próbę została wystawiona Jej wiara. Maryja jednak w swej cudownej prostocie odrazu uznaje realną możliwość niesłychanego faktu. „Błogosławionaś jest, iżeś u w i e r z y ł a" pochwali Ją słusznie nazajutrz Elżbieta. Nie łatwo było uwierzyć. Ona już wierzy. Pyta więc spokojnie, jak to się stanie, gdyż ślubowała Bogu dziewictwo. Z pytania tego widać, że nie wyobrażała sobie, aby Jezus miał nie posiadać ziemskiego ojca i nie przypuszczała, że pocznie dziecię mocą Ducha Świętego. Tę oślepiającą prawdę wnet Jej objawiono.

VIRGO MATER

I teraz następuje chwila, w której Maryja z Nazaretu godzi się obdarzyć nas Zbawicielem świata. Godzi się zbratać nas z Bogiem. Stać się wspólniczką naszego zbawienia. Wobec tego, że sam Bóg, żądając Jej zgody, oznajmił Jej swój zamiar wciągnięcia do współdziałania w wielkiej sprawie, wyraża tę zgodę i współdziała z Bogiem. „Niech mi się stanie według słowa twego."

Jaka trwoga i radość, zdumienie i zachwyt musiały rozszerzać serce tej skromnej dzieweczki, która za ułamek sekundy była już Matką wszystkich ludzi!

Brzemienny w skutki, pierwszy akt Dramatu Odkupienia został zanotowany przez ewangelistę w kilku zwięzłych zdaniach i jesteśmy mu za to wdzięczni, gdyż w tych zdaniach zawierają się ziarna wszystkch maryjnych dogmatów.

Następny akt — życie ukryte Jezusa w Nazarecie — nie znajduje właściwie żadnego odzwierciadlenia w księgach Dobrej Nowiny. Ten długi, trzydzieści lat trwający okres, w którym rozwijał się i dojrzewał pod okiem Matki Przedziwnej Syn Człowieczy, ujęty jest dwoma krótkimi zdaniami. „A dziecię rosło i umacniało się, pełne mądrości, a Łaska Boża była w nim". „I poszedł z nimi i przyszedł do Nazaretu, a był im posłuszny".

Nie sposób sobie wyobrazić, czym był dla Maryi ten szczęśliwy okres, w którym obcowała Ona najściślej, bez żadnych przeszkód, bez chwili rozstania, z Synem Bożym. Był zawsze z Nią, „był Jej poddany". Kto zdoła ogarnąć umysłem to nadludzkie szczęście, ten przywilej udzielony człowiekowi raz na przestrzeni dziejów? Mieszkać pod jednym dachem z Bogiem? Patrzeć na Niego, gdy budzi się rano, gdy wstaje, gdy bawi się i pracuje, zasiadać z Nim do wspólnego stołu, witać Jego uśmiechy i słyszeć ten głos słodki, który kiedyś burze będzie uśmierzał, rozbierać Go i ubierać, odbywać z Nim spacery, układać Go do nocnego spoczynku, modlić się z Nim razem! Modlić się razem z Bogiem! Czym były te modlitwy niewysłowione, czym były dla naszej Matki te rozmowy długie, jakie wiodła w zaciszu nazaretańskiego domku w ciepłe wieczory galilejskie z Tym, który był stopiony z Bóstwem absolutnie, hypostatycznie, który nigdy nie oddzielał się od Wszechmogącego, ani na sekundę nie był pozbawiony Jego wizji!

„A matka Jego wszystkie te słowa zachowywała w sercu swoim". Zaiste — serce tej matki stało się skarbcem przebogatym.

Ona wiedziała, na czyim czole składa co dzień pocałunki, czyje włosy rozczesuje, czyją głowę przytula do swej piersi, wiedziała dobrze, **k o g o** ma. Jej nie trzeba było tłumaczyć: „— Filipie, kto mnie widzi, widzi i Ojca". I jeśli Jezus zaznaczył: „nikt nie zna Ojca, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić", to nie wątpimy, że zechciał Go objawić najpełniej swojej Matce. I jesteśmy pewni, że w codziennych rozmowach z Matką spoufalił Ją z najgłębszymi tajemnicami Ojca, zbliżył Ją do Niego tak, jak to jest możliwe dla człowieka , dał Jej z Niego **w s z y s t k o**, bo „wszystko co Ojciec ma, do mnie należy". Nikt przecież na ziemi nie kochał Jezusa bardziej, jak Jego Matka, a „kto mnie miłuje, tego miłuje mój Ojciec, a ja go będę miłował i objawię mu samego siebie".

Niepojęte, naprawdę niewyrażalne było obcowanie Tych Dwojga. Ona — krwią swoją ukształtowała Jego ciało i boskie rysy Jego ludzkiego oblicza, tak, że stał się „piękniejszy urodą nad syny człowiecze", podobny całkiem do Matki Najśliczniejszej. On — słowem swym ukształtował rysy Jej duchowego oblicza tak, że stała się najdokładniejszym Jego wizerunkiem, modelem wszelkiej świętości.

Oblubienica Ducha, staje się oblubienicą Syna i z Nim razem rodzi nową ludzkość. Syn uzbraja Matkę w nadprzyrodzone moce i powierza Jej życie duchowe przyszłych swoich wiernych. To Ona będzie rodziła, karmiła i strzegła chrześcijan. Będzie ich matką rzeczywistą, nie tylko w znaczeniu moralnym, ale organicznym, bytowym.

Ale następuje dzień, w którym Zbawiciel odchodzi do Ojca. Historię Młodego Kościoła opisuje inna księga objawiona — Dzieje Apostolskie. Jezus jest już w Niebie, ale na ziemi zostaje Maryja, najważniejsza po Nim osoba, Matka tego Kościoła.

Zostaje, aby czuwać nad jego rozwojem. Ten Kościół jest **d z i e ł e m J e j S y n a**, owocem Jego życia, Jego męki, Jego krwi. Jest więcej, niż Jego dziełem. Kościół to On Sam w Swoim Ciele Mistycznym.

Zjednoczona najbardziej ze wszystkich istot z Synem Boga — jest zjednoczona najściślej z Mistycznym Ciałem Boga, które ogarnia ludzkość. Rodzicielka Zbawiciela, rodzi po raz drugi — Arkę Zbawienia. W Jej łonie dziewiczym kształtowały się członki Syna Człowieczego — teraz w Jej sercu gorejącym rosną członki Kościoła Bożego. Pochylona kiedyś czule nad kolebką Chrystusa, pochyla się teraz z największą troskliwością nad kolebką Chrześcijaństwa.

Niemożliwe jest do pomyślenia, aby Ta, która uczyła chodzić małego Jezusa, nie czuwała nad pierwszymi krokami Jezusowej „małej trzódki". Aby nie była związana z jej losem, aby była obca czemukolwiek, co jej dotyczyło. Aby nie radowała się z nią i nie płakała, nie odczuwała najżywiej jej zwycięstw i porażek. Aby wreszcie nie przekazywała jej tych słów, które „zachowała w sercu swoim".

Jeżeli Syn Jej mógł powiedzieć: „Kto widzi mnie, widzi Ojca" — Ona miała prawo mówić: „Kto widzi mnie, widzi Syna."

I o ile wstrzemięźliwość ewangelistów można wytłumaczyć obawą przed odrywaniem wzroku ludzi od centralnej Osoby Dramatu, to obawa ta byłaby nieusprawiedliwiona u autora Dziejów.

Czymże więc uzasadnić milczenie Łukasza znającego tyle szczegółów z życia Matki Bożej, który zaledwie wspomina raz Jej obecność w wieczerniku, po wyliczeniu imion apostołów, na samym końcu listy, w jednym szeregu z „niewiastami" i „braćmi Jego"? Czy wystarczy tu powoływać się na niskie położenie socjalne ówczesnej kobiety?

Tak więc nie tylko postać Dziewicy-Matki wydaje się paradoksem, ale również kronika Jej życia, ukrytego w Chrystusie i Kościele. Stajemy wobec tajemnicy trudnej do naświetlenia. Rozjaśnić jej mroki może jedynie inna tajemnica. Tajemnica Ciała Mistycznego.

Chrystus nie odszedł. Chrystus nie zakończył Swego dzieła. Chrystus żyje nadal na ziemi w Swoim Kościele, który jest Jego Ciałem Mistycznym. „Jest z nami po wszystkie dni". Jest i działa. Jest i ukazuje nam coraz wyraźniej cel naszej ziemskiej wędrówki. Bo mówił: „nie ma nic zakrytego, co by odkryte być nie miało". Kościół Chrystusowy jest ten sam i ciągle nowy. Rośnie i rozwija się. Obdarza nas coraz to nowymi skarbami, które miał w sobie od początku. Zadziwia nas boską „ewolucją" swojej Prawdy, którą określa dogmatycznie w odpowiednim czasie.

Stąd wynika wielka rola Kościoła, ogrom jego zadania.

Dzięki temu jest on wiecznie młody i twórczy. Bóg, który w przedziwny sposób miłuje człowieka — wysila się niejako, aby go uwielbić i wynieść jak najwyżej. Przez szacunek dla niego lubi działać przez niego. Chrystus mógł wszystkiego na ziemi dokonać Sam i Sam wszystko powiedzieć. Jeśli tego nie uczynił, to tylko dlatego, aby Swej owczarni zostawić pole do działania, aby dać jej możność współpracy ze Sobą, dopracowywania się do **S i e b i e**.

Matka Boża, która jest najwierniejszym odbiciem Chrystusa, kroczy zawsze Jego śladami. Od zarania obecna w Kościele i okrywająca Go płaszczem swej opieki, nie od razu wystawiła na pokaz wszystkie perły i diamenty swej królewskiej korony. Na ziemi ukryła się w cieniu Krzyża. Zasłoniła Swe najpiękniejsze oblicze welonem łez, szatą służebną lśniącą zbroję łask. Roztopiła się w Kościele. Oddała się Mu do dyspozycji, aby podnieść Jego godność. Niech sam wydobywa Ją ze skarbca jako swą własność, niech ukazuje wiernym.

Wczoraj Kościół objawił Jej Niepokalane Poczęcie, dziś oto objawia chwalebne Wniebowzięcie. Jutro? Co będzie jutro? Można się domyślać z Jej natchnień, w które wsłuchują się święci. „Zanoście swe modły do Mnie", podsuwa nam Ona, „nikt ich lepiej nie przekaże Synowi, a nikt lepiej od Syna — Wszechmogącemu Ojcu. Ja przejmuję się waszymi bólami. Jestem ulepiona z tej samej gliny. Znam wasz niepokój, gdy z oczu wam ginie Zbawiciel. On mi też zginął w drodze z Jerozolimy, a serce moje drżało z lęku i niepokoju znanym, wam, szalonym rytmem. I nikt troskliwiej ode mnie nie obdzieli was darami Ojca. Zresztą... wszystkie one muszą przejść przez moje ręce".

„Jam jest waszą matką **p r a w d z i w ą**. Czy można komuś ufać więcej, niż matce? Już od chwili Wcielenia nosiłam was razem ze Zbawicielem w swoim łonie. Nie zapomnę nigdy bólów, jakie mi sprawił wasz poród. Zaprawdę rodziłam was w męce tak wielkiej, że jej ogromu nigdy nie zdołacie pojąć. Było to na Kalwarii. U stóp Krzyża, na którym konał, straszliwie rozdarty, mój Jedyny Syn. Zapłaciłam za was wtedy wielką cenę. Kupiłam was dla Szczęścia. Czy mogłabym dopuścić, aby wam czegoś brakło, pozwolić, abyście mi poginęli?"

Dogmat wszechpośrednictwa wschodzi już na nieboskłonie Kościoła. Jutro zaleje całe niebo ciepłym i radosnym blaskiem.

IV.

Powiększenie listy dogmatów nie jest tworzeniem nowych prawd. Żaden dogmat nie jest nowy, nowe jest tylko jego ogłoszenie. Był on zawsze ukryty w Kościele, istniał potencjalnie, a wyłaniał się w kształcie skończonym, gdy wymagała tego potrzeba..

Tajemnice związane z osobą Dziewicy-Matki nie są przecież irracjonalne. W istocie wszystkie one posiadają wewnętrzną logikę, wypływają jedne z drugich, narzucają się z koniecznością.

Pomiędzy człowiekiem i Bogiem była przepaść nieskończona, a wszelkie mosty ponad nią zerwał grzech pierworodny. Zasypać niejako tę przepaść, pośredniczyć między stworzeniem, a Niepojętym jego Stwórcą mogła tylko istota, dotykająca obu krańców, jednocześnie ograniczona i nieograniczona, stworzona i niestworzona. Tą istotą jest Chrystus, Bóg i człowiek zarazem. „W Chrystusie Bóg pojednał świat ze Sobą" — mówi św. Paweł.

Ale i Chrystus jest przez swoje absolutne zjednoczenie z Bóstwem czymś tak wyniesionym ponad nasze wątłe człowieczeństwo, że odczuwamy pomiędzy sobą a Nim słuszny dystans. Odczuwamy potrzebę, aby ktoś godniejszy od nas poprowadził nas ku Niemu za rękę, pośredniczył między nami, a Nim. I żeby ten ktoś, mimo swej doskonałości, był już tylko człowiekiem, tak wątłym jak i my. Abyśmy z całą śmiałością powierzali mu swoje troski. Tą osobą jest Maryja, Matka Chrystusa, który jest Bogiem, a więc Matka Boga, chociaż jedynie jako człowieka, Maryja, związana bezpośrednio z największymi tajemnicami i mającą udział w ich przygotowaniu. Chrystus w swoim ostatnim testamencie przekazał nam na Golgocie Jej macierzyństwo. Królewski zapis! Matka Boga, jest matką naszą! Matka bardzo czułą, która nie może odmówić nam swego serca, dawszy nam uprzednio Swój Skarb największy. Matką bardzo możną, wszechmożną nawet, jeśli chodzi o **w s z e c h m o c b ł a g a n i a**, z powodu rzeczywistej władzy, jaką miała nad Synem i której nadal Jej udziela miłość synowska. Jest Ona więc pośredniczką drugiego stopnia, pośredniczką wyłącznie ludzką, ale w niewysłowiony sposób polecającą nas wyższemu Pośrednikowi: Człowieko-wi-Bogu.



Wierzymy w siłę Jej wstawiennictwa: jest przecież w łaskach niezwykłych u Boga. Jesteśmy z Niej dumni. Podnosi nas na duchu, wspaniale objawia nam ludzkie możliwości. Będąc **t y l k o** człowiekiem stała się tak doskonałą!

Przez Jej kobiece łono Bóg wszedł do świata — stała się Mu „bramą niebieską". Ale Bóg nie mógł wejść do świata przez jakieś drzwi nieczyste. Raj ożywiony, w którym miało być posadzone Drzewo Życia, nie mógł być jakąś nikczemną pustynią. Dlatego, na mocy przywileju, została poczęta bez zmazy pierworodnej, jest Niepokalana. Dostała start równy Ewie przed grzechem — i dobiegła do mety.

Urodziła nam Człowieka, zachowując dziewictwo. Taki poród przystoi Bogu. „Aby ciało Jego okazało się prawdziwe — urodził się z kobiety, Lecz, aby okazała się Jego boskość — narodzić się musiał z Dziewicy" (św. Tomasz). „Należało, aby Głowa Nasza cudem urodziła się cieleśnie z Dziewicy, na znak, że Kościół członki swe urodzi z Niej duchowo" (św. Augustyn).

Dziewica - Matka! Najpiękniejszy Jej tytuł. Kryjący w swym paradoksie nieopisany czar.

W zamierzchłych wiekach, wśród ludów pierwotnych snuła się legenda o dziewicy, która powije syna, a ten syn wybawi zbrukaną ludzkość od nędzy i zła. Rodziła się z tęsknoty za czystością i rosła, aż znalazła swój kształt w objawieniu Izajasza Proroka:

„Oto dziewica pocznie i porodzi syna."

Tym zaś przywilejem św. Jan Damasceński już przed tysiącem lat uzasadniał drugi, ogłoszony dzisiaj: „Było rzeczą konieczną, aby Ten, który w porodzie zachował nienaruszoną Jej dziewiczość, zachował również bez żadnego zepsucia Jej ciało po śmierci".

Wymaga tego przecież Jej nieskończona wprost godność — Bożej Matki. Wymaga najwyższa ze wszystkich — miłość Syna do Matki. „Gdzież jest syn, który by mogąc to uczynić, nie przywołał do życia własnej matki i nie uniósł jej ze sobą do Raju?", woła św. Franciszek Salezy.

Można uważać że Maryja umarła, podobnie, jak i Jezus umarł. Ale wzdrygamy się przed myślą, żeby święte ciało Nienaruszonej, Najśliczniejszej z dziewic, aby to „boskie tabernakulum Słowa" (Pius XII, Bulla dogmatyczna) miało się zamienić w zgniliznę i popiół.

Dogmat Wniebowzięcia jest ściśle związany z dogmatem Niepokalanego Poczęcia. Śmierć, według teologii katolickiej, to następstwo grzechu. Zepsucie grobowe — to najcięższe umartwienie pierworodnej pożądliwości i dobrowolnej pożądliwości grzesznych ludzi. A przecież Maryja jest wolna od zmazy pierworodnej i nie popełniła nigdy żadnego grzechu. Jeśli więc Niepokalana — to i Nieśmiertelna. Jeśli doskonale czysta, to nie potrzebuje się oczyszczać. Ciało Jej to widomy rytm duszy, która nie ma żadnego powodu, by się z nim rozstawać.

V.

Można odmówić Niepokalanej Dziewicy wszystkich Jej niezwykłych przywilejów, obedrzeć Ją ze wszystkich boskich prerogatyw, które w Niej widzi pobożność katolicka jak to uczynili protestanci.

Ale nie można zaprzeczyć, że czyniąc tak, gasimy na firmamencie najpiękniejszą gwiazdę, zbłąkanym żeglarzom wskazującą drogę do portu. Że zmywamy uparcie z szarych chmur radosną tęczę, która harmonijnym łukiem spina niebiosa z ziemią. Że wśród burzy i wichru wyrzekamy się dnia, który jest absolutnie pogodny, wiekuiście wiosenny, parujący w słońcu, jak kadzielnica czysta i wonna, dnia, który wygrywa pieśń odzyskanego raju.

Tadeusz Kordyasz

Jan DOBRACZYŃSKI

W CIEMNOŚCI CHODZI I NIE WIE DOKĄD ZDĄŻA



Mamy do zanotowania nową, ciekawą, katolicką pozycję literacką. Myślę o „Der Weg ins Dunkel" Hansa Habe. Autor jest dziennikarzem austriackim. Uciekłszy z Austrii po Anschlussie, w 1940 r. wstąpił jako ochotnik do armii francuskiej i dostał się do niewoli niemieckiej. Udało mu się z niej uciec. Tym razem dotarł do Stanów Zjednoczonych, gdzie znowu zaciągnął się do wojska. Znalazłszy się w pułku murzyńskim, wraz z tym pułkiem wylądował w Normandii.

Przeżyte koleżeństwo z czarnymi obywatelami USA zrodziło koncepcję książki. Jej bohaterem jest kapral słynnej 69-tej dywizji murzyńskiej, która wsławiła się w walkach we Włoszech, Washington Roach. Washington, zdemobilizowany w 1945 r. powraca do rodzinnego Haarlemu, i tu z miejsca dostaje się do aresztu za awanturę w barze. Pijany biały zażądał, aby mu Murzyn oddał swoje krzesło — w odpowiedzi na to Washington gruchnął go w łeb butelką. Ta awantura stanowi moment zwrotny w życiu Washingtona. Murzyna „zdemoralizował" stosunek do niego Europejczyków. Tam, we Włoszech, był bohaterem, wyzwolicielem, Amerykaninem. W Ameryce stał się znowu obywatelem drugiej klasy. Póki nie wylądował w Sacramento, był wystraszonym synem ubogiego przedsiębiorcy pogrzebowego. Ale we Włoszech przekonał się, że strach przed białym jest czymś, co istnieje tylko w USA. Nie zniesie już teraz więcej panowania białego! Nie będzie mu pokornie służył!

Są ludzie, dla których Ameryka wydaje się być rajem. Washington widzi raj w zniszczonej przez wojnę Europie. Zaciąga się powtórnie do armii, udaje się jako żołnierz oddziałów okupacyjnych do Bawarii.

Pędzi życie w obozie koło Monachium. Jego zwierzchnicy biali są lepsi lub gorsi, lecz zawsze nienawistni. Inaczej z Niemcami. Dla nich Roach jest przede wszystkim Amerykaninem, który ma pełne kieszenie Chesterfieldów, gumy do żucia, czekolady. Inni żołnierze, biedacy Nowego Lądu, tu w Europie wszechwładni Krezusi, kupują sobie za swe przydziały małe, przelotne przyjemności. Ale Washingtonowi nie o to chodzi. On szuka wyrównania swego kompleksu niższości. Kompleksy rozwiązuje tylko miłość, toteż Roach zakochuje się na ślepo, do szaleństwa w Niemce Ewie. Nic nie pomogą perswazje mądrzejszych kolegów. Washington kuszony przez dziewczynę, która chce koniecznie wyjść za niego za mąż, by móc wyjechać do wymarzonych USA, postanawia, wbrew zakazom wojskowym wziąć z nią ślub. Dążąc ślepo do wypełnienia woli Ewy, potrafi nawet zdradzić podle jednego ze swych przyjaciół i chce widzi jak go masakrują biali żołnierze Constabulary (policja wojskowa amerykańska — przy tym jeden z tych żołnierzy nazywa się Poznański! Jest to już drugi wypadek w literaturze powojennej, gdy przedstawia się Polaka jako wyraziciela brutalności amerykańskiej; pierwszym razem było to w „Vingtcinquième heure" W. Gheorghiu, gdzie strażnik obozu amerykańskiego, Polak, zabija próbującego uciec spoza drutów Rumuna) — nie spieszy mu z pomocą, aby sie nie narazić białym. W końcu dopina swego. Ale wojsko ślubu nie uznało. Roach musi się kryć ze swoim małżeństwem.

Tajemnica wykryła się jednak szybko. Washingtonowi grozi sąd wojskowy, zwolnienie z armii i odesłanie z powrotem do USA. Na to się nie chce zgodzić. Ewa oczekuje dziecka, które Washington już kocha. To dziecko, wierzy, będzie białe (jeden z dziadków Washingtona też był biały). Jego urodzenie przełamie do reszty tragiczny kompleks. Wobec tego Roach dezerteruje. Już wie, co będzie robić. „W tej epoce, zimą 1946 r., powiada Habe, Europa zachodnia wiodła podwójną egzystencję: jedną na powierzchni, drugą w podziemiach. Pierwszą charakteryzowały nędza, skąpe odżywianie, walka o kawałek chleba, krzyki głodnych dzieci, walka nowych systemów politycznych, intrygi jednych państw przeciwko drugim, opozycja wszystkich narodów przeciwko cudzoziemcom, których losy wojny sprowadziły na ich ziemię. Ale pod powierzchnią żył drugi świat, który drwił że wszystkich praw, nie znał nędzy, wszystkim handlował, nie uznawał granic, był zjednoczony i solidarny w zbrodni niezależnie od tego, czy do niego należeli zwycięzcy czy zwyciężeni".

W ten świat spekulantów, gangsterów, przemytników, w świat szumowin powojennych daje nurka Washington Roach. Początkowo musi się wysługiwać innym, ale w szybkim czasie awansuje. W parę tygodni później jest już szefem własnej bandy. Ma odwagę, ma wolę zwycięstwa, to mu pomaga podporządkować sobie innych. Jego planem jest dobić się pieniędzy, zabrać Ewę i wyjechać z nią do Francji, gdzie czarny może żyć na równych prawach z białym. Ale Ewa nie chce mieć z nim teraz nic do czynienia. Chciała wyjść za Amerykanina, by móc pojechać do Ameryki — nie za Murzyna dezertera. Zresztą zbrzydzono go jej dokumentnie. Wieś niemiecka pogardza nią za związek z czarnym, również władze amerykańskie patrzą na nią z pogardą. Pod wpływem powszechnej opinii interesowne uczucie, jakie żywiła przedtem do Washingtona, zamienia się w obrzydzenie i nienawiść. W Monachium urodziła dziecko, córkę. Dziewczynka jest rzeczywiście biała. Ale Ewa pogardza tym „murzynięciem". Wyrzeka się dziecka, pozwala, aby się nim zaopiekowała samotna kobieta, Żydówka, Marta, dawna więźniarka z obozu koncentracyjnego.

Washington nie może się pogodzić ze zmianą postępowania żony. Usiłuje ją sobie zjednać klejnotami i pieniędzmi, które zdobywa w swych rabunkowych wyprawach. Nie może tego znieść, aby „jakaś" Żydówka (nienawidzi Żydów na równi z białymi Amerykanami — jego ostatnim pryncypałem w USA był Żyd) opiekowała się dzieckiem. Śmiałym wypadem do miasta odbiera Marcie małą Luizę. Ale gdy dziecko zachorowało, a matka nie chce o nim słyszeć, Washington „porywa" z kolei Martę, aby w ukryciu, w którym przebywa banda, opiekowała się niemowlęciem.

W końcu skończyła się jednak bezkarność Roacha. Wydany przez Ewę, ma zaledwie możność z Martą i dzieckiem wymknąć się z rąk ścigającej go Constabulary. Zabija przy tym jednego z żołnierzy. Przeszedłszy we trójkę góry docierają do Francji. I tu, zdawać by się mogło, skończyły się wszystkie tragedie Washingtona.

On i Marta dostają pracę na fermie w Lotaryngii. Ludność jest im życzliwa. Nikogo tutaj nie razi ani żydostwo Marty, ani czarna skóra Washingtona. Ta para zbiegów w chacie francuskiego chłopa może zacząć żyć wolnym życiem. Tylko że między nimi samymi nie ma harmonii. Washington nie chce zobaczyć dobroci, oddania i wierności Marty dla dziecka, która gotowa jest żyć obok mordercy i dezertera, byle tylko móc czuwać nad Luizą. Znosi ją — ale jej nie lubi. Poczuwszy się bezpieczny, już chciałby się jej pozbyć. Popełnia, z gniewu do niej, szereg nieostrożności.

To mu sprowadza na kark policję amerykańską. Tym razem nie ma już mowy o ucieczce. Roach skazany zostaje przez sąd wojskowy na śmierć. Przyjmuje wyrok z pogardliwą nienawiścią. Biali są silniejsi — musi więc zginąć. Cóż warte jest życie w świecie, który należy do białych? Chodzi mu jedynie o córkę. Chce ją oddać swoim rodzicom. Ci jednak — wystraszeni, ubodzy Murzyni — nie wezmą na wychowanie... białego dziecka. Gdyby jeszcze Luiza była czarna... Wobec tego dziewczynkę czeka życie w domu opiekuńczym, a jej karta ewidencyjna, mimo jasnej skóry i złotych włosów dziecka, będzie miała w rubryce „rasa" literę N(negro).

*

Poprzez całą historię Washingtona Roacha przewija się postać kapelana wojskowego ks. Duranta. Postać na pewno zbyt idealna, konwencjonalna w swej dobroci, szlachetności. Ks. Durant odbija od żywej, ze świetnym wyczuciem psychologii murzyńskiej odmalowanej postaci Washingtona. Ale Durant to porte parole autora.

To on wielokrotnie stara się nakłonić Washingtona do zmiany sposobu życia. On przybywa, by go ostrzec, kiedy Constabulary szuka Roacha, a zarazem wezwać go, by się dobrowolnie oddał w ręce sprawiedliwości. On będzie go bronił przed sądem wojskowym i on wreszcie spędzi ze skazanym na śmierć Murzynem ostatnią noc. Wtedy rozmawiają:

„Może... — powiedział w końcu Washington, — może rzeczywiście jest jakieś niebo. Ale po cóż mam w nie wierzyć? Inni ludzie mogą już tu, za życia, zobaczyć je. Złoczyńca z Biblii pewnie je także widział. Nie był przecież czarny. Ale ja, na ziemi, przeżyłem piekło. Od chwili urodzenia... Nie byłem przecież „niewinnym dzieckiem", nieprawdaż?

Zaśmiał się sucho.

— Czemu mi Bóg nigdy nie pomógł? Ojciec chce, abym w Niego wierzył. Lecz czemuż On mi się nie pokazał? Jestem winny, to prawda... Ale tak nie było na początku. To On pierwszy uczynił mnie winnym, rzucając mnie w świat. Nie chciałem się urodzić, nie chciałem być Murzynem, nie chciałem mieć nic wspólnego z tym brudem! To nie On zapłacił Swój dług, proszę ojca, ale to ja go muszę płacić, i to dziesięć za jednego...

— Rozumiem ciebie, Washingtonie. Ale o jednym zapomniałeś: życie jest krótkie, wieczność długa. Życie jest także rodzajem czyśćca, prologiem życia, które rozpocznie się dopiero po śmierci. I jeżeli to prawda, że czarni muszą tutaj więcej cierpieć niż biali, to znaczy po prostu, że w niebie jest więcej czarnych niż białych. Szczęście jest wielką pokusą w życiu. Ono zatwardza serce. Pan powiedział, pamiętasz, że łatwiej wielbłąd przejdzie ucho igielne, niż bogaty dostanie się do Królestwa Niebieskiego. Nie powiedział, że bogactwo jest grzechem, ale że jest pokusą, której niewielu umie uciec. Być białym — to także pokusa. Mówisz, że cię nic dobrego nigdy nie spotkało. Mylisz się, Washingtonie. Przypomnij sobie swój proces. Pomyśl o twoim przyjacielu Carterze, o Marcie, o złodzieju, który niósł twoje dziecko w ucieczce, a potem zginął. Pomyśl o rodzinie francuskiej, która cię przyjęła. I jeśli chcesz, Washingtonie, powiem ci jeszcze jedną rzecz, o której ci dotychczas nie mówiłem...

— Słucham księdza, księże kapelanie.

— Zanim odjechałem z Niemiec, Marta była u mnie. Ona nie opuściła rąk. Zażądała wizy do Ameryki. Sądzę, że dostanie ją na pewno już za kilka tygodni. A wiesz dlaczego tutaj przyjedzie? Aby być bliżej dziecka. Pomożemy jej, by je otrzymała. Będziemy walczyć, aż wygramy. Będziemy mieli przeciwko sobie przesądy, biurokrację, papierki i głupców. Ale, obiecuję ci, nie ustaniemy w wysiłkach. Pomyśl Washingtonie, nie ma nieba na ziemi, ale są ludzie jak Marta.."

I Washington Roach wybuchał płaczem. Pójdzie teraz na śmierć bez zawziętego, pełnego gniewu milczenia.

*

„Nie ma nieba na ziemi, ale są ludzie jak Marta..."

Czy naprawdę nie może go być? Czy nie należy się o nie starać? Oczywiście: „przyjdź Królestwo Twoje.." O nie powinniśmy się nie tylko modlić słowem. Trzeba nam pracować, by się ono mogło ziścić. Ale realizacja Królestwa jest czymś ogromnie trudnym. Królestwo Boże — to system, który zaczyna działać dopiero wtedy, gdy dobrowolnie zapragną go wszyscy. Do udziału w Królestwie Bożym nie można nikogo zmusić. Wprawdzie król z Ewangelii przymuszał ludzi, aby przychodzili na ucztę (Łuk. 14, 23), ale zanim tamci usiedli do stołu, musieli zrobić bodaj ten najmniejszy gest: przyodziać białą szatę godową (Mat. 22).

Nieba nie będzie na ziemi. „Zawsze bowiem ubogich macie u siebie" (Mk. 14, 7), „niepodobna jest, aby zgorszenia przyjść nie miały" (Łuk. 17, 1), „gdy przyjdzie Syn Człowieczy czy znajdzie wiarę na ziemi?" (Łuk. 18, 8). Ale już na ziemi może być coś, co jest surogatem nieba. Nie ma nieba na ziemi — ale „Królestwo Boże w nas jest" (Łuk. 17, 20). Jeżeli niebo, stanowiące niewątpliwie główną część tego Królestwa, jest miłością — to na ziemi dobroć, miłość, litość, miłosierdzie są przebłyskami nieba. Są nieustanną siejbą Królestwa, które wzrasta gdy gospodarz „nie wie" (Mk. 4, 27), bo choć jedno ziarnko padło na „grunt skalisty", inne „przy drodze", jeszcze inne „między ciernie" — któreś przecież padnie na „ziemię urodzajną" i wyda plon wielokrotny (Mat. 13). Zgorszenia muszą przyjść — ale wyrównaniem zgorszeń jest przebaczenie „siedmiokroć".

*

Problem czarnych jest jedną z plam cywilizacji współczesnej. Ten problem nabrzmiał boleśnie w USA. Nam, katolikom, nie wolno nań zamykać oczu. I w Stanach Zjednoczonych są grupy katolików, jak studencki zespół „Friendship house" w New Yorku i Chicago, jak pismo „America" prowadzone przez o. La Farge, które przeciwstawiają się ostro upośledzeniu czarnych. Lecz jakże nikły jest tego rezultat! Czy wielu u nas wie, że na 14 milionów Murzynów żyjących w USA, 8 milionów jest bezwyznaniowych (po prostu pogan lub ofiar idiotycznych sekt), 5,650 tys. protestantów i tylko 350 tys. katolików?! Że do dziś dnia są w Luizjanie kościoły katolickie, do których nie wolno wejść Murzynowi?! Do kogo mamy mieć pretensję o to, że tak jest? Wydaje mi się, że tylko do nas samych. Sprawa murzyńska została w USA postawiona tragicznie. Dużą winę ponoszą tu katoliccy w znacznym procencie mieszkańcy stanów południowych, w których niewolnictwo trzymało się najdłużej i gdzie do dziś dnia Murzyni traktowani są najgorzej. Ale jakże mało my, katolicy z Europy, zwracaliśmy na to uwagi! Gdzie są książki katolickie pisane w obronie czarnych?

Powieść H. Habe jest niewątpliwie dlatego pozycją cenną. Poznały się na niej pewne katolickie środowiska we Francji, ukazała się ona w przekładzie w katolickim dominikańskim wydawnictwie „Temps Présent". Sądzę, że powinna się ukazać także i u nas. Dziś, gdy odległości w świecie stały się bliższe i gdy czarni obywatele rozmaitych krajów odwiedzają nas — katolicy polscy muszą ciągle mówić i pisać o tragicznej sprawie murzyńskiej.

Rozwiązanie problemu murzyńskiego nie jest łatwe. Tym niemniej czas ostatni, aby był rozwiązany. Niewątpliwie będziemy mieli do czynienia z rozmaitymi koncepcjami rozwiązań. My jednak katolicy musimy pamiętać, że jeśli nawet zaniedbaliśmy czynami tę kwestię, to przecież nie wynika stąd wniosek, że musimy myśleć o jej rozwiązaniu metodami innymi niż katolickie. Katolicy mogli się okazać złymi katolikami. Ale katolicyzm zna odpowiedź także i na tę sprawę. „Nie masz bowiem różnicy między Żydem a Grekiem" (Rom. 10, 12), mówi św. Paweł. Dziś powiedziałby: nie ma różnicy między białym a czarnym, żółtym, czerwonym. Nie inaczej mówi do Washingtona Roacha ks. Durant:

„Nie jesteś złoczyńcą. Wszystkie okoliczności były przeciwko tobie od dnia twoich narodzin. Poszedłeś taką drogą, ponieważ urodziłeś się czarny.

— Tak! Otóż to jest ta Boska sprawiedliwość!

— Być może. Ale ty tego nigdy nie zrozumiesz, Roach, że wszyscy ludzie są nieszczęśliwi od czasu upadku Adama i Ewy. Tylko jedni są nieszczęśliwsi niż drudzy. Ten urodził się w nędzy, tamten jest chory, inny jest Żydem, jeszcze inny — dotknięty ciężkim dziedzictwem, piąty ze skłonnościami do zbrodni, szósty — od dziecka w niewoli. Są tacy, którzy otrzymali w udziale czarną skórę. Ale nikt nie jest wolny od bólu. Nasze ręce i nogi są skute. I to jest ważne, w jaki sposób uwolnimy się od tych więzów. Oto cel naszego życia.

— Ach, ksiądz chce mnie złapać na sentymenty? Za późno! Ja się sam uwolniłem, ksiądz nie zobaczy mnie już za kratami.

— Wcale się nie uwolniłeś. Zacisnąłeś tylko pętlę, w którą byłeś uwikłany. Trzeba wszystko zacząć od nowa... Mówisz o Marcie, jak biali zwykli mówić o kolorowych. Czy nie widzisz tego tragicznego koła bez wyjścia? Ty nienawidzisz Żydów, biali nienawidzą ciebie, ty nienawidzisz białych; biali nienawidzą innych białych: Żydów lub Niemców. Żydzi nienawidzą Niemców, Niemcy nienawidzą Żydów i Murzynów... Nie ma w tym końca. Czy trzeba zawsze nienawidzieć drugiego?

— Może. Ja przynajmniej byłem zawsze znienawidzony..

— Nie zawsze, Roach, nie zawsze. Gdzieś, kiedyś to przeklęte koło musi być złamane. Ktoś musi się sprzeciwić jego prawom.

— Niech ksiądz pogada o tym z Constabulary...

— Nie ma co z nimi mówić. W tej chwili ścigają cię oni jako zbrodniarza, a nie jako Murzyna.

— Gdybym był biały, pozwolono by mi się ożenić z Ewą. Wyjechalibyśmy byli do Ameryki.

— Być może Roach. Ale to ci powiem: gdyby Marta nie była Żydówką, mogła by była mieć własne dzieci. Czy wiesz, Roach, kiedy się zaczęły naprawdę nasze nieszczęścia?

— Nie wiele mnie to obchodzi..

(dokończenie na str. 6.)

Zdzisław NAJDER

CZYTAJĄC



Goethe we „Fragmentach filozoficznych" Laratera, przypuszczalnie wg rysunku Lotty Buff

I.

GOETHE

Genealogia postaci literackich, wywiedzenie ich od rzeczywiście istniejących prototypów jest zawsze — o ile tylko jest możliwe — rzeczą niezmiernie interesującą i pouczającą. Uczy nas głębszego rozumienia swoistych praw i wewnętrznej logiki dzieł poetyckich, pozwala głębiej wniknąć w mechanizm pracy pisarza — a porównanie wzoru z „odbiciem" wykazuje, jak dalece najbardziej niewolnicza kopia jest właściwie twórczą: potwierdza odrębność świata zjawisk literackich. Przy tym wszystkim kryje w sobie to porównywanie poważne niebezpieczeństwa: m. in. groźbę samowolnego ograniczania źródeł postaci utworu do jednej lub paru określonych osób — co w praktyce niemal nigdy nie ma miejsca — czy też możliwość popadnięcia w intelektualistyczny schematyzm, przy zapomnieniu o sile działania elementów irracjonalnych przy powstawaniu dzieła.

Ciekawym obiektem takiej analizy stosunku postaci literackich do modeli mogłyby być „Cierpienia młodego Wertera". Główne postacie tej książki są szczególnymi stopami. Szczególnymi choćby z tego powodu, że stopionymi nie „wzdłuż" — tj., że dwa charaktery realne łączą się w jeden — lecz „wpoprzek" — tj. od pewnego momentu postać literacka ma nowy model, inny od poprzedniego. Że przy tym sprawia to na ogół wrażenie jedności — to zasługa talentu Goethego. A więc: Werter to połączenie Goethego (z dwu okresów życia) i Wilhelma Jerusalema, Lotta — to złączona „właściwa" Lotta Buff i Maxe (Maksymiliana) Brentano z domu de la Roche, Albert wreszcie — to kolejno Chrystian Kestner i Piotr Antoni Brentano.

Szkoda, że dokładniejszych informacji w tym względzie nie umieszczono w najnowszym wydaniu „Cierpień młodego Wertera"[1]). Wyjaśniłyby one czytelnikowi bardzo wiele, zwłaszcza jeśli chodzi o występujące — mimo wszystko — poważne odrębności pierwszej i drugiej części. Podwójna szkoda, że nie zwrócił na to uwagi Boy-Żeleński, autor umieszczonej tam przedmowy — równie ciekawie napisanej, jak jednostronnej (Czytanie jej na początku jest wielkim niebezpieczeństwem!).

BOY I WERTER

Boy stawia sprawę w ten sposób: miłość w „Ciepieniach młodego Wertera" jest tylko przykrywką — samobójstwo nie zostało popełnione z miłości. „Widzę jasno, że Werter nie zabił się przez Lottę ani dla niej i że punkt ciężkości jest gdzie indziej". Leży on mianowicie w bolesnym odczuciu nierówności społecznej, jakiego doznał Werter na przyjęciu u hrabiego C. Pierwsza część „Wertera" nie ma w sobie nic tragicznego — pisze Boy. Tragiczna jest dopiero część druga. A ów epizod — tak według niego ważny — leży właśnie na pograniczu obu części.

Ta jednostronność (przywodząca na pamięć wspomnienie złośliwych wierszy Goethego do Nicolaia, autora parodii „Cierpień młodego Wertera" pt. „Radości młodego Wertera") da się wytłumaczyć psychologicznie: Boy czytał „Cierpienia" na nowo, jako książkę od dawna już znaną. Czytał zapewne nieuważnie, powierzchownie, bez „wczuwania się" — stąd łatwo nagiął wszystko do swej pseudo-socjologicznej koncepcji. Spróbujmy ją rozwikłać. Boy wcale nie twierdzi, aby Goethe miał zamiar tak właśnie przedstawić Wertera — jako ofiarę nierówności społecznej. Jeżeli to zrobił to mimochodem. Ale taki „mimowolny realizm" byłby możliwy tylko wtedy, gdyby książka przedstawiała wyłącznie jeden ciąg wypadków i gdyby każda z postaci miała jeden zasadniczy pierwowzór. Boy zapomina, że część druga „Cierpień" ma za wzór nie wydarzenia Goethe — Lotta Buff, lecz jest — przy zakończeniu napisanym ściśle według losu biednego Jerusalema — odbiciem miłości Goethego do Maxe Brentano, miłości, która obfitowała bardziej w momenty tragiczne. Nieprawdą jest też, że część pierwsza nie ma w sobie w ogóle elementu tragicznego — posiada go ona, choć w mniejszym stopniu (por. str. 83 „Nie widzę nędzom tym kresu prócz grobu"!) — co łatwo wyjaśnić także czas pisania powieści: Goethe pisał „Cierpienia" w dwa lata po przejściach z Lottą, ale natychmiast niemal po burzliwym rozstaniu z Maxe.

Tak więc lekceważenie materiału biograficznego odbija się silnie na szkicu Boy'a — zapomina on, że „Cierpienia" nie są bezpośrednim „odbiciem życia", lecz subiektywnym „zestawieniem" jego elementów. A to zestawienie w każdym razie nie wysuwa na plan pierwszy problemu nierówności społecznej.

WERTER — ARTYSTA

Ale Boy ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi, że nie sama miłość doprowadziła Wertera do samobójstwa. Dowody na to są dostatecznie przekonywające. Co tedy było przyczyną? Należy zwrócić uwagę na fakt, że Werter jest człowiekiem niezwykłym. Jest artystą. Sama normalna miłość nie jest w stanie zabić — boć nie każdy kochający nieszczęśliwie młodzieniec zabija się. Dopiero wybujała uczuciowość artysty, skrajny introwertyzm, wzmożona zdolność odczuwania sprawiają, że miłość staje się dlań zabójcza. Ale jeśli jest ona powodem ostatecznym, to w każdym razie nie jest dostatecznym. Jeśli przejrzyjmy uważniej wyznania Wertera zauważymy, że nie tylko miłość go unieszczęśliwia. Werter - artysta czuje wszystko inaczej i silniej niż jego otoczenie (tym bardziej, że uczucie jest najsilniejszą z funkcji jego osobowości). Charakterystycznym pod tym względem jest epizod z pobytu u księcia. Książę odnosi się doń bardzo przychylnie — Werter jednak postanawia wyjechać stamtąd. Dlaczego? Bo książę mimo dużego zrozumienia dla sztuki odczuwa ją banalnie — i tego Werter znieść nie może. W ogóle Werter nie jest w jakikolsposób skłócony ze społeczeństwem, w którym żyje — wszyscy odnoszą się doń przychylnie. Ale mimo to poczucie własnej odmienności, wyrastanie ponad otoczenie wywołuje wrażenie osamotnienia (widać to nawet w listach do Wilhelma).

ARTYSTA I SPOŁECZEŃSTWO

Tragizm Wertera nie jest jednak — jak tragizm pisarzy romantycznych, tragizmem przeciwstawienia artysty społeczeństwu, lecz fatalizmem przerośnięcia społeczeństwa. Pod tym względem należy Werter zdecydowanie do epoki przedromantycznej — od tej epoki bowiem problem artysty i społeczeństwa był niemal zawsze ukazywany jako przeciwstawienie. (Możemy teraz przyznać trochę racji Boy'owi gdy pisze, że dla czytelników „Cierpień", którzy masowo popełniali samobójstwa — na Węgrzech zabroniono czytania tej niebezpiecznej książki — miłość było tylko przykrywką. Nie każdy jest artystą i co dla jednego jest szczerością, dla drugiego, choćby o śmierć chodziło — będzie obłudą. Ale najbardziej tutaj zawiniała sugestywność samej książki).

Pisarze romantyczni z reguły przeciwstawiali swoje „ja" — zbiorowości, odgraniczali z naciskiem własną osobowość — niekoniecznie odwracając się zarazem od owej otaczającej zbiorowości: owszem częstokroć chcieli na nią wpływać, kierować nią. Nastąpił jednak zasadniczy zwrot w ogólnym pojęciu pisarza poety: ustaliło się przekonanie, że jest on czymś zasadniczo odmiennym duchowo od zwykłych śmiertelników.

Następnie — na podstawie badań medycznych i psychologicznych powstało mniemanie o odrębności także fizycznej artysty — przy czym, o ile duchowa różnica była pojmowana raczej in plus, to ta druga — wyraźnie in minus. (Symptomatyczne są tu np. spróchniałe zęby pisarza Detlev'a Spinella w „Tristanie" Tomasza Manna).

Nastąpiła także ewolucja drugiej strony przedstawienia: „społeczeństwo" skonkretyzowało się — gdzieś w końcu XIX w. jako mieszczaństwo. Życie kulturalne przeniosło swój środek ciężkości do miast — odbiorcami literatury i jej sędziami stali się głównie mieszczanie. Z drugiej zaś strony nowy napływ fali romantycznej (modernizm) zaostrzył jeszcze przeciwieństwo artysty i społeczości, przeciwstawiając wzniosłym duchom poetów mydlarskie filisterstwo. A wiadomo, że filisterstwo i burżujstwo, to niemal synonimy.

W w. XX przeciwstawienie uległo dalszej modyfikacji: na miejscu społeczeństwa zaczęto stawiać państwo — okrutną, schematyczną maszynerię władzy, dążącą do ograniczenia wolności twórcy. Problem ten wystąpił szczególnie ostro po dojściu do władzy Hitlera i w okresie rozprzestrzeniania się faszyzmu, kiedy wielka część wybitniejszych pisarzy niemieckich musiała wyemigrować. Tak więc „Cierpienia młodego Wetera" stanowiłyby pierwsze ogniwo szeregu dzieł takich, jak cykl „Straconych złudzeń" Balzaka, „Dziady", wiele utworów Baudelaire'a (np. „Albatros"), niezliczone mnóstwo pism modernistów, „Wilk stepowy" Hessego, „Portret artysty" Joyce'a itd. Artystą zaś, który zagadnieniu pisarza i społeczeństwa poświęcił całą prawie swą twórczość jest Tomasz Mann.

II.

TOMASZ MANN

Wstępując na teren twórczości Tomasza Manna od strony najczęściej poruszanej przezeń tematu: stosunku artysty[2]) do otoczenia (tu mieszczaństwa) należy się wystrzegać jednostronności. Było by uproszczeniem i niesprawiedliwością schematyzować całą działalność pisarską Manna wg. tego problemu.[3]) Stanowi on klucz do wielu utworów, a niebezpieczną symplifikacją jest stosowanie go do wszystkich.

Szkic niniejszy staram się ograniczyć do dzieł znanych w Polsce — a jego zasadniczym przedmiotem są wydawnictwa powojenne. Z dzieł T. Manna otrzymaliśmy po wojnie: trzy opowiadania[4]) pod wspólnym tytułem „Pan i pies"[5]) oraz „Buddenbrooków"[6]).

Nawiązując do porzednich rozważań stwierdzamy, że z czterech — nierównej wielkości — pozycji, dwie odnoszą się ściśle do poruszanego powyżej zagadnienia: „Buddenbrookowie" i „Tonie Kröger", ulubione opowiadanie autora. Oba utwory zarazem mają na sobie wybite piętno autobiograficzne.

DZIEJE UPADKU RODZINY

„Buddenbrookowie" (podtytuł „Dzieje upadku rodziny") — pierwsze wielkie dzieło Manna (1900 r) to obraz stopniowego rozkładu fizycznego i psychicznego oraz upadku materialnego hanzeatyckiej rodziny kupieckiej w ciągu XIX wieku. Podnietą do obrania takiego właśnie tematu była zapewne[7]) głośna książka R. Z. Dugdale'a „The Junkes, a Study in Crime, Pauperism, Disease and Heredity" (z r. 1875) („Junkesowie, studium o zbrodni, zubożeniu, chorobie i dziedziczności") — sprawozdanie Nowojorskiego Towarzystwa Więziennego, przedstawiające dzieje

1) Goethe „Cierpienia młodego Wertera" przekład Leopolda Staffa. Studium wstępne Tadeusza Żeleńskiego (Boya), Książka i Wiedza" Warszawa 1950 str. 181.

2) artysta — to dla Manna muzyk lub literat (Mann jest świetnym znawcą muzyki) podczas gdy Goethe, choć wielbiciel Bacha, był poza literaturą głównie malarzem.

3) tak jak to robi częstokroć Max Kapp w swej skądinąd bardzo interesującej książce „Thomas novelistische Kunst" München 1928.

4) pisane w zupełnie różnych okresach: „Pan i pies" w r. 1919, „Tonio Kröger" w 1903 a „Nieład i wczesna udręka" (Unordnung un frühes Leid) w 1925 — szkoda, że nie zostało to zaznaczone w książce.

5) Tomasz Mann „Pan i pies" przekład autoryzowany L. Staffa. Okładkę projektował prof. E. Kuczyński. Wyd. Polskie R. Wegner, Warszawa 1950 r., str. 290.

6) „Buddenbrookowie, dzieje upadku rodziny", powieść, przekład Ewa Librowska, okładkę projektowała Maria Hiszpańska.

7) W żadnej ze znanych mi prac o Mannie nie znalazłem o tym wzmianki.

W ciemności chodzi i nie wie dokąd zdąża

(dokończenie ze str. 5.)

— Nie po upadku Raju, ale po zbudowaniu wieży Babel. Bóg dał ludziom drugą szansę. Babel stało się jednak miejscem, gdzie zostały pomieszane języki ludzkie a ludzie rozproszeni. Gdyby każdy był rozumiał mowę swego towarzysza, ludzie zdobyliby niebo...

— Do którego nie wpuszczono by żadnego Murzyna...

— Myśl sobie, jak chcesz, Washingtonie...

— Co mi ksiądz opowiada? Zawsze pójdę do piekła, jeśli tylko ono istnieje. Będę się nawet cieszył, widząc jak tam biali smażą się na tej samej patelni co i czarni... Niech mi ksiądz da spokój z kazaniami. Proszę iść mówić je białym. Niech oni pierwsi przestaną nas nienawdzieć!

— To nie jest ważne, kto pierwszy przestanie. Niewątpliwie nie czytałeś nigdy listów św. Jana ale w jednym z nich są słowa, które tej właśnie sprawy dotyczą. W drugim rozdziale pierwszego listu czytamy: „Kto twierdzi, że jest w światłości, a brata swego nienawidzi, dotychczas jest w ciemności. Kto miłuje brata swego, przebywa w światłości i nie masz w nim zgorszenia. A kto nienawidzi brata swego, w ciemności jest i w ciemności chodzi i nie wie dokąd zdąża, bo ciemność zaślepiła oczy jego." Nienawiść to wieczny marsz w ciemność, który nie skończy się nigdy, dopóki nie przestaniemy nienawidzieć.

— Nikt nie przestanie...

— Owszem przyjdzie taki dzień. Człowiek wyrzeknie się nienawiści i zaczarowane koło pęknie..."

Królestwo Niebieskie to miłość, dobroć, miłosierdzie, wybaczenie. I to jest jedyna nasza droga. Niech mi nikt nie mówi z ironią, że najłatwiej jest białemu wybaczać... cierpienie Murzynów! Niech nikt nie twierdzi, że wiara w powszechną miłość jest w prawdzie bardzo piękną ale tylko złudą, bo człowiek musi nienawidzieć. Tak się może zdawać. Ale katolik musi mieć w swym działaniu świadomość, że nigdy nie jest sam. Królestwa Bożego nie buduje się na własną rękę, ani wiedzą o nim, ani nawet najgorętszym sercem. Królestwo Niebieskie — to nie mądrość, którą się czytało w Ewangielii, u Ojców Kościoła, w Summie św. Tomasza. Recepty na nie znaleźć można, ale zastosować je bez Boga nie podobna. Tylko On, On w zjednoczeniu z człowiekiem może podołać temu dziełu. A wtedy nie ma „nic niemożliwego" (Łuk. 1, 37). I wiemy, że jest, że nam pomaga — choć go nie widzimy. „Jeśliby dwaj z was na ziemi zgodzili się, prosząc o rzecz jakąkolwiek otrzymają ją od Ojca który jest w niebiesiech. Gdzie bowiem dwaj albo trzej są zgromadzeni w Imię Moje, tam Ja jestem pośród nich..." (Mat. 18, 19 — 20).

Katolik, który nie liczy na Boga jest na pewno tylko lekkomyślnym marzycielem. Mamy niewątpliwie dużo do powiedzenia o świecie. Ale tylko wówczas wyjdzie coś mądrego z naszej oracji, jeśli ostatnie słowo zostawimy Panu Bogu.

Jan Dobraczyński

KLASYKÓW

upadku i zwyrodnienia jednej z rodzin tamtejszych.

Ale Mann ujął temat w sposób bardzo swoisty — z właściwą sobie tendencją do półsymboliczności. Połączył on degenerację biologiczną rodziny ze wzrostem w niej obcych duchowi mieszczańskiemu elementów wybujałego indywidualizmu i dążności artystycznych. Oba zjawiska są ze sobą ściśle związane: im większy indywidualizm kogoś cechuje, im silniejsze żywi zainteresowania artystyczne — tym słabszy jest fizycznie, podatniejszy na choroby, bliższy nienormalności (przychodzi na myśl Lombroso).

Stary konsul Jan Buddenbrook (w czasie jego „rządów" rodzina osiągnęła szczyt dobrobytu materialnego) — to jeszcze normalny mieszczanin, co prawda na wielką skalę. Ale już jego żona zdradza pewne odchylenia w swej nabytej w końcu życia wybujałej pobożności. Dzieci to wyraźny objaw degeneracji — choć na różne sposoby i w różnym stopniu. Tonia — to sentymentalizm, brak równowagi duchowej i wysokie aspiracje; Tom — podejrzane zainteresowanie dla literatury, oryginalne małżeństwo, pęd do pracy społecznej przy zaniedbywaniu własnych interesów, wreszcie słabe zdrowie. Najjaskrawszym jest casus Christian, typ patologiczny z pewnymi skłonnościami do sztuki. I najmłodsze dziecko Klara zdradza objawy niemoralnego przerostu powagi i dewocji. Żona Tomasza, Gerda to kobieta innej rasy, zamknięta w sobie wielbicielka muzyki.

W ostatnim z Buddenbrooków, małym Hanno (w oryg. Janno-Johann) proces dochodzi do kresu: ciągle choruje on w jakiś szczególnie złośliwy sposób i — ma zamiłowanie i talent do muzyki, najabstrakcyjniejszej ze sztuk.

Użyłem powyżej słowa „półsymbolizm". Istotnie czytelnikowi „Buddenbrooków", znającemu „Czarodziejską górę" trudno się chwilami wyzwolić spod wrażenia, że cała powieść jest przeniknięta symbolizmem. Niektóre momenty, jak opis śmierci małego Hanno zdają się taką myśl niedwuznacznie sugerować. Bo czyż śmierć nie jest w „Czarodziejskiej górze" nb. dzieło późniejsze o lat dwadzieścia cztery, zaczęte w r. 1912) symbolem „czystego estetyzmu", a raczej postawy wyłącznie kontemplacyjnej?

W każdym razie stwierdzić należy, że postawienie problemu artysty i społeczeństwa w „Buddenbrookach" cechuje jaskrawa skrajność zrozumiała u młodego pisarza. Właściwe, dojrzałe stanowisko Manna znajdujemy w „Toniu Krögerze". Tragizm wykolejenia, degeneracji, koniecznej śmierci wreszcie został tam w znacznej mierze zamieniony na tragizm twórczości.

Ogólne choćby omówienie walorów artystycznych „Buddenbrooków" nie zmieściłoby się w zbyt skromnych na to ramach niniejszego artykułu (który zresztą ma na celu bardziej ogólne rozważania) — może uda mi się to innym razem. Zwróćmy tylko uwagę na parę godnych zaobserwowania faktów.

Podnoszono już wielokrotnie niezwykłą precyzję stylu T. Manna (w ostatnich jego dziełach jest ona nieraz męcząca) — styl „Buddenbrooków" giętki i zmienny, wspaniale oddaje ciężką, skondensowaną atmosferę mieszczańskiego patrycjatu. Zmienia się on zresztą z tokiem powieści — jak zmienia się treść i kompozycja. Te czynności, czy wydarzenia, które początkowo nie interesowały autora jako mało ważne, stają się naraz zasadniczymi, zmienia się kąt patrzenia na życie rodziny. Niezmiernie ciekawym i wdzięcznym zadaniem byłoby także np. zbadanie rozmieszczenia i roli krótkich partii opisowych w powieści; raz służą one dla kontrastu — to znów uzgadniają się z tonem akcji — a nieraz są na pozór tylko napozór obojętne.

I na zakończenie — parę słów o tłumaczeniu. Dokonany z upoważnienia autora przekład Ewy Librowiczowej jest dość swobodny, lecz niemal zawsze oddający wiernie sens i ton oryginału. Dlatego też wydaje mi się, że należy zwrócić uwagę na parę usterek. Książka zaczyna się w oryginale od słów małej Toni: „Was ist das„, — Was — ist das". Tłumaczka oddała je — zgodnie z sensem wypowiedzi przez: „Jakże się to zaczyna... Jak — to się zaczyna"... Wydaje się, że takie zdecydowane wysunięcie sensu na plan pierwszy zmienia ton odezwania dziewczynki (ośmioletniej). Lepsze byłoby prostsze, używane przez dzieci „Jak to jest?"

Podobnie: słowa Teteni Weichbordt, która mówiąc przekręcała specyficznie samogłoski, powinny brzmieć raczej „Bądź szczanśliwa drogie dziacko" (niem. Sei glocklich, du gutes Kind") niż „Bądź sząśliwa" (zresztą to oddanie oryginału nie zawsze jest przestrzegane, por. t. I. str. 152). Poza tym w przekładzie zdarza się nieco germanizmów, a w niektórych miejscach tłumaczka przesadza w swobodzie oddania oryginału, co prowadzi do niezrozumiałości, np. t. I, str. 9: „Miał na sobie surdut barwy cynamonowej, *z szerokimi wyłogami, którego rękawy zwężały się dopiero poniżej łokci około dłoni*". (oryg. Er trug einen zimmetfarbenen Rock mit breiten Aufschlägen und *keulenformigen Armeln, die sich erst unterhalb des Gelenkes eng um die Hand schlossen*).

Przepraszam za „czepianie się", ale i dzieło i doskonałe na ogół tłumaczenie warte są zachodu.

WYZNANIE PISARZA

Z trzech opowieści zawartych w tomie „Pan i pies" — „Tonio Kröger" jest najwcześniejszą i najciekawszą. O jego problematyce, o tym, że element tragizmu i śmierci przesunięty został na samą twórczość — wspominałem już powyżej. Bo kwintesencją poglądów wypowiedzianych w „Tonio Krügerze" jest ten ustęp mówiący o pracy pisarza: „Pracował nie jak ktoś, co pracuje aby żyć lecz jak ten, co pragnie tylko pracować, gdyż nie cieni w sobie człowieka żyjącego, jeno pragnie coś znaczyć jako twórca, poza tym zaś snuje się szary i niepozorny, jak po zmyciu szminki aktor, który jest niczym, dopóki niczego przedstawić nie może. Pracował niemy, zamknięty, niewidzialny i pełen pogardy dla owych karłów, dla których talent był ozdobą towarzyska i którzy, bez względu na to czy byli bogaci lub biedni, czy chodzili dzicy i obdarci lub pozwalali sobie na zbytek oryginalnych krawatów, przede wszystkim myśleli o tym, by żyć błogo, przyjemnie i artystycznie, nieświadomi tego, że dobre dzieła powstają tylko pod uciskiem złego życia, że kto żyje, ten nie pracuje i że trzeba wprzód umrzeć, by być całkowicie twórcą".

Ale nie zaczynajmy od końca. Treścią opowieści — opartej na materiale autobiograficznym — jest wędrówka życiowa pisarza: począwszy od trosk dzieciństwa do pełni sławy. I przez cały ciąg fabuły przepływa dręcząca dychotomia: na normalnych ludzi, zwykłych mieszczan o zdecydowanej postawie życiowej i wytyczonej prostej drodze życia — i na Tonia Krögera jednego z tych, dla których „nie ma w ogóle właściwych dróg". Musi ją tworzyć sam — w ciężkiej walce z sobą i samotnością, wśród ciągłej tęsknoty do porzuconego świata ludzi normalnych. Podłożony jest zresztą i pod to motyw upadku rodziny. Tonio ma bardzo wiele punktów wspólnych z Tomem Buddenbrookiem — nawet matkę ma podobną. I jego artyzm rośnie w miarę upadku zdrowia.

Znaczną część tego wspaniałego opowiadania pełnego płynącej z samoświadomości melancholii wypełniają rozważania dotyczące procesu twórczego pisarza — rozważania pełne głębokiej goryczy. Artysta, aby utrwalić uczucie, aby je przelać na papier i w czytelników — musi je najpierw zabić w sobie. Twórczość jest właśnie ciągłym zabijaniem siebie samego, wydzieraniem z siebie najlepszych części ducha — stwierdza Tomasz Mann. Jest ciągłym wyrzeczeniem się, ze świadomością, że właśnie ta konieczna rozterka wewnętrzna między artystą i mieszczaninem czyni z pisarza poetę.

I tu wróćmy znowu do Goethego. Skierował na to uwagę już Carlyle, a rozwinął szerzej między innymi Roman Dybowski w studium „W stulecie śmierci Goethego"[8]), że twórczość Goethego, jego praca nad sobą stoi ciągle pod znakiem wyrzeczenia.

Jak Mann istotę wypełnienia osobistego posłannictwa pisarza widzi w odmówieniu sobie możliwości normalnego życia — tak Goethe uważa wyrzeczenie się za warunek rozwinięcia każdej wybitnej osobowości. „Die Entsagung ist unser Pakt mit der Muse" (wyrzeczenie jest naszym paktem z muzą) —powiada Mann. A u Goethego Faust mówi do Mefistofelesa:

„Entbehren sollst du! sollst entbehren!
Das ist der ewige Gesang,
Der jedem an die Ohren klingt,
Den, unser ganzes Leben lang,
Uns heiser jede Stunde singt.

(Wyrzec się musisz! musisz wyrzec! To jest wieczny śpiew, który brzmi w uchu każdego, który przez całe nasze życie ochryple śpiewa każda godzina).

A w „Westöstlicher Divan" znajdujemy słowa równoległe do mannowskich poglądów na powiązanie sztuki i śmierci:

„Und solang du das nicht hast,
Dieses „Stirb und werde!"
Bist du nur ein trüber Gast,
Auf den dunklen Erde.

(I dopóki nie masz owego „Umrzyj i stań się", dopóty będziesz tylko ponurym gościem na ciemniej ziemi).

Tak hasło śmiertelnej wierności własnemu posłannictwu artysty, wyrzeczenia się wszystkiego, co stoi na przeszkodzie jego wypełnieniu jest także wspólne obu największym niemieckim twórcom pióra, pomostem, łączącym ich ponad przestrzenią wieku[9]).

IDYLLA I ROZTERKA

Dwa pozostałe opowiadania tomu mówią o dwu stronach życia pisarza „Pan i pies" to sielankowy obrazek wzajemnego stosunku pana i psa Bouszana, ich wspólnych spacerów, pełen niezmiernie ciekawych i oryginalnych obserwacji z psychologii zarówno jednej jak (zwłaszcza) drugiej, psiej, strony. Odurzające jest tutaj ogromne bogactwo i rozpiętość stylu, a godna podziwu wyobraźnia autora, który rozbudowuje i analizuje wnikliwie drobne epizody nie wpadając ani razu w rozwlekłość czy nudę[10]).

Starając się nie wywoływać wrażenia, jakobym chciał scharakteryzować bliżej omawiane utwory Manna — nie należy on bowiem do pisarzy, których łatwo zamknąć w formułkach — i ostatniemu opowiadaniu poświęcę parę słów tylko. „Nieład i wczesna udręka" utwór odbijający naprężony nastrój lat inflacji w Niemczech jest dziełkiem, którego główna wartość zasadza się właśnie na wspaniałym, a nie natrętnym obrazowym oddaniu tego nastroju. Leopold Staff, doskonały tłumacz obu poprzednich utworów tutaj dał nam wręcz koncertowy pokaz swej sztuki. Właściwie nie jest to opowieść lecz poemat prozą — przy olbrzymiej precyzyjności charakterystyki przedstawionych czasów.

*

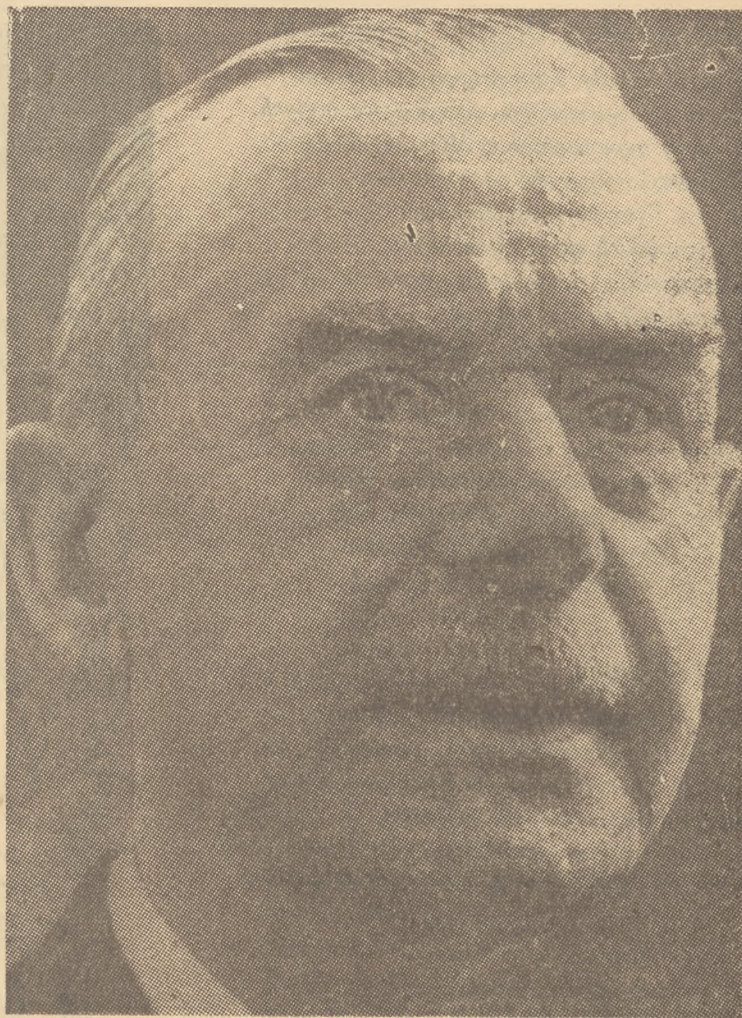
Przez parę pierwszych lat powojennych — ze zrozumiałych powodów — rzadko ukazywały się wznowienia klasyków literatury niemieckiej. Teraz miejmy nadzieję sprawy przybiorą inny obrót. Wyszedł już cały szereg dzieł nowszych pisarzy niemieckich, ze zmarłych między innymi „Młodość króla Henryka IV" — Henryka Manna, starszego brata Tomasza. Ale to dopiero początek a literatura niemiecka jest w Polsce, wbrew pozorom, bardzo mało znana. Ilu ludzi u nas słyszało o Raabe'm? Z wielkich realistów niemieckich mamy tylko „Siedem legend" Kellera — pozycję mało reprezentacyjną. Miejmy nadzieję, że ukaże się i zapowiadany „Doktor Faustus" T. Manna, że wznowienia starych autorów nie skończą się na Werterze. Czekamy.

Zdzisław Najder

8) w tomie „Między literaturą a życiem", Rój, Warszawa, 1936.

9) Tomasz Mann wydał w r. 1939 książkę poświęcona Goethemu i Lotcie, pt. „Lotte in Weimar". Opowiada ona o odwiedzinach Lotty u starego już Goethego w Weimarze. Niestety nie znam tej książki w całości. Poza tym poświęcił Mann Goethemu szereg studiów (Leiden und Grosse der Meister) — w Warszawie całkowicie niedostępnych.

10. Natomiast należy zgłosić zastrzeżenie pod adresem autora okładki — czy nie mogłaby ona być dostosowana do treści książki? „Pan i pies" rozgrywa się za miastem, a tu widzimy obie postacie w jakimś staromiejskim zaułku!



Tomasz Mann

Janusz ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK

Miniaturki

DO ZAROZUMIAŁEGO

Pysznisz się, że ręka twoja, jedynie od woli twej zależna, gdziekolwiek ją zwrócisz, wysyła w tę stronę promień światła. Przyjrzyj się bliżej: jest to blask słońca odbity od szkiełka twojego zegarka.

POGŁOS ODCZUTEJ KIEDYŚ KSIĄŻKI

Duża twarz młodej, jasnej kobiety nie jest tak piękna, by nie można odwrócić wzroku.

* * *

Dlaczego mi się wydaje, że widzę uśmiech młodej księżnej w listopadzie starego, bezlistnego parku?

KREM

Kiedy szczęki czują potrzebę oparcia się na czymś twardym, aby je skruszyć jednym ściśnięciem, kupuję w cukierni ptysia i stanąwszy na ciemnej ulicy wkładam go do ust nie bacząc na to, że gdy go zgryzę, poczuję w ustach nadmiar kremu.

ZIELONY LIŚĆ

Marek już nieczęsto wspomina myślą tamto, czego jednak i dzisiaj nie potrafiłby wyrazić układem zwykłych słów.

Nie potrafiłby też pewno wyrazić nieodłącznego potem, kiedy było pisanie krótkiego imienia na małym kawałku papieru, żeby prędzej spalić, było w śmiertelnym ukryciu rysowanie delikatnej głowy, a każde zobaczenie osoby było tak ważne, że zapisywane w kalendarzyku.

Dzisiaj wszystko jest dla niego jedną rzeczą ze swoim początkiem i końcem, który ma swój niekończący się dzień dzisiejszy.

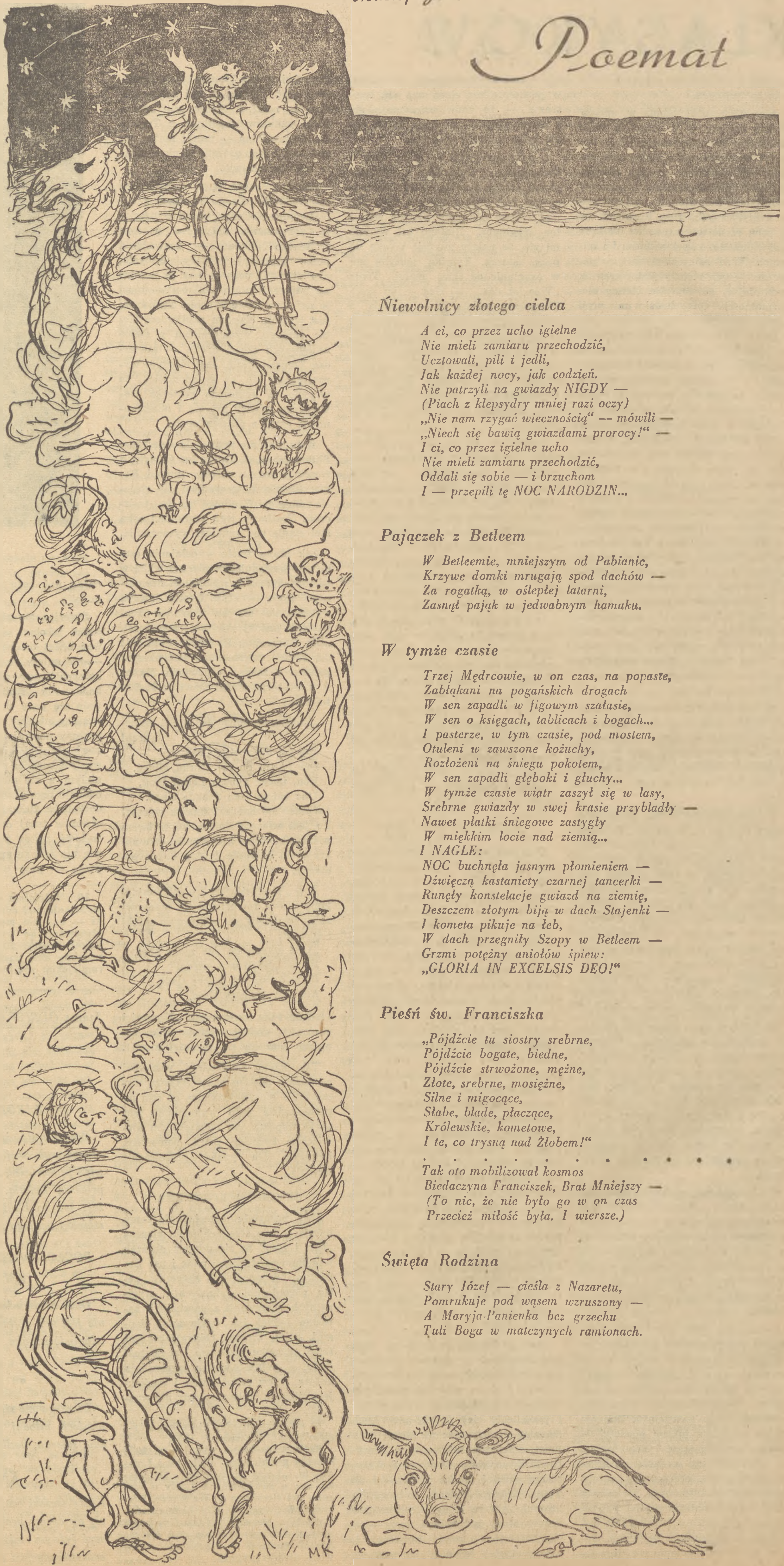
Czy rzeczywiście?

Nie, bo któregoś dnia zielony liść spadł ścięty batem.

Janusz Odrowąż-Pieniążek

Maciej J. Kononowicz

Poemat



De Revolutionibus Orbium Coelestium

Wóz Drzymały z przetrąconym dyszlem
Ugrzązł w gwiezdnym żwirze i we mgłach.
Srebrny ogon mocząc w Mlecznej Wiśle
Betleemska Gwiazda nocą gna —
A noc była najbardziej nocna
Ze wszystkich nocy na świecie:
Granatowa — brylantowa — mocna —
I szeroka i wolna jak stepy...
Pod rzęsami trzaskało od błysków,
Płatki śniegu gasiły je miękko —
Wóz Drzymały za Mleczną Wisłą
Ruszył w drogę z Gwiazdą Betleemską.
Skrzypiał, turkotał, piszczał —
(Trzeszczał pod nim granatowy lód)
Wóz Drzymały z kalekim Dyszlem
Jechał niebem jak umiał i mógł...

Trzej Mędrcowie

Od Wschodu, na skrzydłach wiatru,
(Wiatr był mroźny, świeży i rześki)
Trzej Mędrcy ruszyli na patrol,
Poglądając w kompas niebieski.
Ciągnęli ostrymi grzbietami gór
Na miękkich garbach wielbłądzich —
I toczyli społem przyjazny spór:
Gdzie tryśnie Źródło Miłości,
I jak się światu objawi?
— Czy nową tęczą?
— Czy zębem błyskawicy?
— Czy może II-gim wydaniem
Mojżeszowej Księgi-Tablicy?
— Wzorem geometrycznym?
— Zmysłem szóstym?
— Czy — myśląc hellenistycznie —
Herosem? Półbogiem? Bóstwem?...

. . . .

Podkręcali wąsy sobieskie,
Norwidowskie gładzili brody
I patrzyli na kompas niebieski
Trzej Mędrcy, jadący ze Wschodu...

Pasterze

O dziwo — jak się to stało,
Że, chociaż śniegi i mróz,
Na błoniach, gdzieś pod Warszawą,
Pasterze pilnują trzód...
Rzeka. I most niedaleko.
Zza rzeki organki i śmiech —
Wiatr-moderator. I echo
We mgle gubiące dech.
Pasterze bydła i koni,
Pasterze surowi, prości —
Było ich wtedy miliony —
Głód znali. Nie znali Miłości.
Liczono ich wtedy na sztuki,
Łącznie z bydlęcym pogłowiem —
I wiek za wiekiem... dopóki
SŁOWO nie stało się CIAŁEM...
Przy ogniach dłonie grzali
Niewolnicy panów i bydła
I półgłosem modlitwy śpiewali,
Mniej pokorne od Psalmów Dawida.

Modlitwa Pasterzy

O, Panie, pozwól pięść rozluźnić,
O, Panie, pozwól serce ścisnąć —
Nie chcemy przeciw Tobie bluźnić,
Nie chcemy naszych krzywd wyliczać.
Niech nas wyniosą trudne fale
Nie jak topielców — jak żeglarzy!
Czy jeszcze strzelą w górę żagle?
Czy nam się wiatr pomyślny zdarzy?
Dziadowie, my i nasze dzieci
W mroku zrodzeni, w mrok staczani,
Od pokolenia w pokolenie
Ciemni, krzywdzeni, pogardzani,
Czekamy świtu, co nas zbudzi
Wolnych od wzgardy i kajdanów —
Chcemy, jak ludzie między ludźmi,
Mieć Ciebie, Panie — a nie panów!"

. . . .

I posnęli pasterze strudzeni
Bez nadziei. Bez snów. Z pytaniem.
Nie wiedzieli, że nocą w Betleem
Zaśpiewają PEŁNYMI GŁOSAMI.
Organki za rzeką cichły.
Przygasały na niebie kolie.
W otchłań nocy strąceni — posnęli:
Pasterze — nędzarze — niewolni...

Niewolnicy złotego cielca

A ci, co przez ucho igielne
Nie mieli zamiaru przechodzić,
Ucztowali, pili i jedli,
Jak każdej nocy, jak codzień.
Nie patrzyli na gwiazdy NIGDY —
(Piach z klepsydry mniej razi oczy)
„Nie nam rzygać wiecznością" — mówili —
„Niech się bawią gwiazdami prorocy!" —
I ci, co przez igielne ucho
Nie mieli zamiaru przechodzić,
Oddali się sobie — i brzuchom
I — przepili tę NOC NARODZIN...

Pająćzek z Betleem

W Betleemie, mniejszym od Pabianic,
Krzywe domki mrugają spod dachów —
Za rogatką, w oślepłej latarni,
Zasnął pająk w jedwabnym hamaku.

W tymże czasie

Trzej Mędrcowie, w on czas, na popaste,
Zabłąkani na pogańskich drogach
W sen zapadli w figowym szałasie,
W sen o księgach, tablicach i bogach...
I pasterze, w tym czasie, pod mostem,
Otuleni w zawszone kożuchy,
Rozłożeni na śniegu pokotem,
W sen zapadli głęboki i głuchy...
W tymże czasie wiatr zaszył się w lasy,
Srebrne gwiazdy w swej krasie przybladły —
Nawet płatki śniegowe zastygły
W miękkim locie nad ziemią...
I NAGLE:
NOC buchnęła jasnym płomieniem —
Dźwięczą kastaniety czarnej tancerki —
Runęły konstelacje gwiazd na ziemię,
Deszczem złotym biją w dach Stajenki —
I kometa pikuje na łeb,
W dach przegniły Szopy w Betleem —
Grzmi potężny aniołów śpiew:
„GLORIA IN EXCELSIS DEO!"

Pieśń św. Franciszka

„Pójdźcie tu siostry srebrne,
Pójdźcie bogate, biedne,
Pójdźcie strwożone, mężne,
Złote, srebrne, mosiężne,
Silne i migocące,
Słabe, blade, płaczące,
Królewskie, kometowe,
I te, co trysną nad Żłobem!"

. . . .

Tak oto mobilizował kosmos
Biedaczyna Franciszek, Brat Mniejszy —
(To nic, że nie było go w on czas
Przecież miłość była. I wiersze.)

Święta Rodzina

Stary Józef — cieśla z Nazaretu,
Pomrukuje pod wąsem wzruszony —
A Maryja-Panienka bez grzechu
Tuli Boga w matczynych ramionach.

rys. Marek Kononowicz

Betleemski

Et Verbum Caro factum est

Pierwsi biegną nędzni pasterze,
Jak w natarciu: serce na broń!
Uwierzyli zanim ujrzeli,
Jak Dzieciątko wyciąga dłoń,
Zanim padli porażeni Łaską,
Zanim padli przed Nim na twarz —
Uwierzyli: SŁOWO się stało
CIAŁEM — takim, jak każdy z nas...
I wiedzieli właśnie w tej chwili,
(W zwiędłe żagle uderzył wiatr!)
Że się stali synami bożymi,
Że i do nich należy świat.
A Franciszek, święty biedaczek,
Do Stajenki spóźnił się nieco —
(O dwanaście stuleci z hakiem)
Wiódł ze sobą stadko owieczek,
Wiódł ze sobą bydło rzucone
Na pastwiskach, przy cichej rzece:
Woły, osły, wielbłądy, konie
I pajączka z latarni ślepej...

Kolęda - kołysanka

Synku Maleńki, nim nas przekreśli
Cień Twego Drzewa,
Chcemy się z Tobą trochę popieścić,
Tobie zaśpiewać.
Srebrzyste pszczoły z niebieskiej łąki
Zbiegły do Szopki
I nachylone ufnie nad Żłobem,
Patrzą Ci w oczki.
A białopióre aniołów chóry
Pieśnią Cię sławią,
Żeś dziś wśród ludzi Miłość przebudził,
Żeś ją objawił.
Spojrzyj: pasterze Nowe Przymierze
Na piersiach kładą —
W martwe ich żagle wicher uderzył —
Ci Cię nie zdradzą!
Spójrz Synku — Mędrcy: Trzech ich tu klęczy —
Pokory pełni.
Twój blask oświetlił barwami tęczy
Mroczne ich księgi...
Widzisz — w pobliżu Biedak z Asyżu
Gości Ci sprosił:
Pająk z latarni, owce, baranki,
Koń, wół i osioł...

. . . .

Nim PRAWDĄ zgorszysz wielkich i możnych,
Mały Syneczku,
Jeden jedyny raz się uśmiechnij
W Noc Betleemską...

Poeta z Asyżu

Stał i patrzył w niebo radośnie
Człek, co słuchał gwiaździstych stłumień,
By móc ziemię pokochać prościej,
By móc ziemię lepiej zrozumieć.
Innych ludzi nie było w pobliżu —
Były ptaki, zwierzęta, planety...
I uśmiechał się święty z Asyżu
Wszechwiedzącym uśmiechem poety.



Turoń współczesny

W dwudziestym wieku w noc się zaplątał
Turoń z kołtunem na łbie.
Szedł na Pasterkę, szedł do kościoła —
Zbłądził — bo był po ćwiartce...
Wierny „tradycjom, dziadom, pradziadom“,
Nucił kolędy zbożne
I myślał: pewnie na stół już kładą
Pieczeń na rożnie...

Credo Turonia

Dwadzieścia wieków wierniejśmy Ciebie
Pana witali
W Wigilię rybka, grzybki, sałatka,
Barszczyk z uszkami...
I zawsze sianko świeże, pachnące,
Tuż pod obrusem,
A na obrusie biały opłatek,
Panie Jezusie.
Wierny Ci byłem. Licz na mnie, Panie!
Semper fidelis!
W niedzielę na mszy i na kazaniu
Bywam w kościele.
A to, żem grzeszny? — Jesteś mi świadkiem:
Inni też tacy —
O tylem lepszy, że się spowiadam
W czas Wielkanocy.
Uchroń me mienie. Ukarz pospólstwo,
Pogan, niewiernych,
I daj mi, Jezu, w drodze wyjątku,
Przejść przez igielne...

Głos na puszczy chrześcijańskiej

Tyle lat! Tyle lat szabrowali
Ze Stajenki, Ewangelii i Golgoty:
Klajstrowali, przyklejali, sprzedawali
Przykazania, przypowieści, „myśli złote“.
Z przejedzenia czkając — i z przepicia,
Zagrzewali do ubóstwa i pokory,
Dzierżąc straże w bunkrach przy korycie,
Dopełniając przepełnione wory...
Tyle lat! Tyle lat — rok za rokiem,
Nocą: „GLORIA“ — a za dnia: „UKRZYŻUJ!“
Węsząc w Szopce za ziemskim obrokiem,
Depczą, ślepi, Syna i Maryję...
O, Turonie, ze złotem w kołtunach!
NOC nadpływa. W niej się Miłość czai —
Rośnie Gwiazda Betleemska w chmurach —
MOC TRUCHLEJE: Kryj się! Kryj się! Padnij

. . . .

Czy słyszycie tę pieśń nad pieśniami,
Która wzbiera, jak morze, jak płomień:
„PAX HOMINIBUS BONAE VOLUNTATIS“
„POKÓJ, POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI“.

. . . .

Świeży, polski wiatr

Odra i Nysa — nowy gwiazdozbiór
Na niebie polskim —
Wiatr się tu ślizga na ostrych łyżwach,
Wiatr apostolski.

Pola i lasy, rzeki i głazy
Porosłe zielskiem,
Uczy miłości językiem prostym:
Cyrylometodejskim.

Po świecie jeździ, przewozi wieści:
„POKÓJ I PRACA“
Kiedy zatęskni — a często tęskni —
Nad Odrę wraca.

W tę Noc Narodzin, w tę Noc Przedziwną,
W śnieżną zawieję,
Nadał depeszę piękną polszczyzną
Z miasta Betleem:

Szyfrem z Betleem

„Bóg — się rodzi;
moc — truchleje;
Pan niebiosów — obnażony;
Ogień — krzepnie;
blask — ciemnieje
ma granice — Nieskończony;
Wzgardzony — okryty chwałą —
śmiertelny — Król nad wiekami —
A SŁOWO — CIAŁEM się stało
i mieszkało
między nami.“
AMEN.

Guy de LARIGAUDIE

Gwiazda w szerokiej dali

Guy de Larigaudie, harcerz-włóczęga, słynny z raidu samochodowego Paryż-Saigon i poległy na froncie 11. maja 1940 r., to jedna z najpiękniejszych postaci młodego pokolenia francuskiego. Pogoda, szeroki, beztroski uśmiech, przyjaźń dla wszystkiego i dla wszystkich, pozorna lekkość charakteru przy rzeczywistej głębi duchowej i surowości wobec samego siebie — oto główne cechy tej dziś już niemal legendarnej postaci.

Jego dorobek literacki jest nie wielki. Kilka powieści dla młodzieży, wspomnienia z podróży oraz niniejszy zbiór myśli pt. „Etoile au grand large", wydany już po śmierci autora, stanowią całe jego dzieło.

O.-M.

Andrzejowi de Knyff

Podziwiaj i przyswajaj sobie wszystko piękno świata rozproszone wokół ciebie. Usiłując wyrazić je w niedoskonałych słowach, podnoś je ku twemu Bogu w pokornym uwielbieniu. Idź ścieżką którą ci Bóg wyznaczył i nie schodź z niej bez względu na to, czy skalista jest, czy prosta, bo jest twoim szlakiem. Biegnij na spotkanie przygody zuchwale, a z radością w sercu, ale kiedy przyjdzie godzina, w której trzeba ci będzie przejść przez jedyną prawdziwą przygodę, ofiarowanie się całkowite Bogu, przyjmij. Tylko Bóg ma wartość. Tylko Jego światło i miłość potrafią zodowolić i nasycić nasze biedne serce ludzkie, zbyt wielkie dla otaczającego je świata.

*

Religia negatywna: nie rób tego, ani tamtego? O, nie! — Ale miłość Boga tak głęboka, tak żarliwa, że wznosi się modlitwą na brzeg warg przez całą długość dnia. To jest pozytywne i pozwala stać mocno pomimo wiatrów i burz.

*

Czuć w głębi siebie całe błoto, gnój i kotłowanie się ludzkich namiętności, a utrzymywać się ponad nimi nie grzęznąc, jakby się szło suchą nogą przez bagno dając się unosić pewnego rodzaju lekkości całej istoty, co nie pozwala zapaść się nogom. Pozostać w miłości Bożej, jak w świetle porannym na błyszczącej przestrzeni bagna i czuć, że ciało nie zagłębia się w trzęsawisko.

*

Czuć, jak przy gwałtownym rytmie orkiestry szał wznosi się gdzieś od wnętrzności aż po zęby. Czuć, jak cały gmach czystości i dobroci staje się chwiejnym rusztowaniem gotowym zapaść się w gwałt, w brutalną wesołość, awanturę. Utrzymywać się tylko dzięki niezwyciężonej wierze, dzięki machinalnemu niemal, ale wiernemu aktowi miłości, co płynie z głębi serca.

*

Czystość jest nieznośną i śmieszną grą o stawkę, jeżeli cały jej fundament stanowią zakazy. Jest ona możliwa i piękna i wzbogacająca, jeżeli opiera się o bazę pozytywną: o miłość Boga żywą, całkowitą, jedyną, jaka potrafi zaspokoić ogromne pragnienie miłości, co przepełnia serce ludzkie.

*

Równie pięknie jest obierać ziemniaki dla chwały Bożej, jak budować katedry.

*

Życie uczynić rozmową z Bogiem.

*

Życie idealne — to to, w którym Bóg indywidualnie żąda od człowieka, by był mnichem, poszukiwaczem przygód, szewcem, czy agentem ubezpieczeń.

*

Taniec — to wielka radość wolnej gry wszystkich mięśni niesionych rytmem muzyki połączona z całym urokiem i wdziękiem, jakiego dodaje obecność kobiety. Jeżeli dusze partnerów są zdrowe i jasne, jest on królewską grą. Ale jeżeli streszcza się w możliwości ściskania i kręcenia się w kółko, staje się złą rzeczą i źródłem grzechu.

*

Każdy upadek powinien nam być odskocznią do jeszcze większej miłości.

*

Jesteśmy jeno słabymi duszami w biednych, pełnych niezaspokojonych pragnień ciała. Ale kochamy Cię, Boże, kochamy Cię ze wszystkich sił naszych słabych dusz, ze wszystkich sił naszych biednych ciał.

*

Nie rozumiemy nic a nic. Tyle samo jest tajemnicy w kiełkowaniu ziarna zboża, co w obrotach gwiazd. Ale wiemy, że tylko my potrafimy kochać i dlatego najmniejszy z ludzi więcej jest wart niż wszechświat.

*

Jest wielu ludzi, co żyją prawie bez grzechu. Życie ich biegnie prosto w ramach pracy i rodziny. Spełniają oni wolę Bożą w zasadniczych kwestiach ich codzienego bytu. A jednak ich egzystencja jest szara, bez światła; podobni są do tych ognisk dobrze zbudowanych, w których brak płomienia. Są uczciwymi ludźmi, zamiast być świętymi.

*

Są godziny, w których pokusa tak silnie, tak niezwyciężenie owłada naszym ciałem, że nic już więcej nie potrafimy, jak szeptać machinalnie prawie nie wierząc w nasze słowa: Boże, ja Ciebie kocham pomimo wszystko, zmiłuj się nade mną.

*

Są wieczory, kiedy klęcząc w głębi kościoła, bez siły nawet na modlitwę, albo pod niebem usianym gwiazdami stojąc i czując coś wielkiego koło siebie, potrafi człowiek powtarzać tylko to biedne zdanie, którego chwyta się jak tonący koła ratunkowego: Boże, kocham Cię pomimo wszystko!

*

Nauczyć się gawędzić z Bogiem.

*

Tnąc szpicrutą nać dzikiej marchwi, żując źdźbło trawy, goląc się rano, można powtarzać Bogu zwyczajnie, bez znużenia, że się Go kocha, — i to warte jest tyle samo, co nigdy nie wylane potoki łez z książek do nabożeństwa. Można nucić sobie i Bogu ofiarowywać piosnkę, w której się mieści całe nasze życie przeszłe i wszystkie marzenia na przyszłość. I gwarzyć tak z Bogiem w radosnym tańcu po rozsłonecznionej plaży, albo w pędzie nart po śniegu. Mieć zawsze koło siebie Boga, jak zaufanego przyjaciela.

*

Trzeba mieć serce pełne Boga, jak narzeczony ma serce pełne ukochanej kobiety.

*

Istnieje dobry sposób zdobywania sobie przyjaciół: uśmiech.

Nie ten uśmiech ironiczny i drwiący, co osądza i poniża.

Ale uśmiech szeroki, jasny, uśmiech harcerski, co graniczy ze śmiechem.

Umieć się uśmiechnąć: cóż za siła! Siła kojąca, siła łagodna, spokojna, promienna.

*

Tak mało potrzeba, aby życie uczciwe stało się życiem świętym. Po prostu trochę więcej miłości Boga, trochę więcej poddania się Jego woli, poświęcenia się i doskonałości w najmniejszych uczynkach. To wszystko.

*

Boże, ofiaruję Ci ten dzień.

Wszystkie moje uczynki, wszystkie słowa i myśli, wszystkie kroki i ruchy.

Wszystkie moje radości i smutki.

Wszystko, cokolwiek dobrego mogłem uczynić w tym dniu, o mój Boże, składam u Twoich stóp na Twą cześć i na zbawienie dusz.

*

W chwili gwałtownej pokusy, kiedy wola upada, a całe ciało słabnie, gotowe ustąpić, dobrze jest zmusić się do jakiegoś maleńkiego umartwienia i w ten sposób okazać Bogu pomimo wszystko nieco miłości: nie nasypać soli do mdłej zupy, albo nie usunąć zawadzającego przedmiotu.

*

Ten nieskończenie mały akt miłości, możliwy nawet w najcięższym pozornie upadku duszy, jest jakby wołaniem o łaskę i wzmocnieniem woli.

*

Świat, w którym żyjemy, nie jest na naszą miarę i mamy czasem serce pełne ogromnej tęsknoty za niebem.

*

Przyroda pełna jest aktów gwałtu, porywania i morderstwa. Zwierzęta drapieżne też na siebie wzajem czatują, uciekają, gonią i pożerają się. Tylko człowiek wynalazł dobroć, a siostra Miłosierdzia rehabilituje świat.

*

Są kobiety, co od jednego na drugi brzeg życia noszą w sobie duszę dziewczęcia.

*

Trzeba trzymać się mocno życia, jak jeździec trzyma się na koniu. Trzeba iść za najmniejszymi jego ruchami i nigdy mu się nie przeciwstawiać.

*

Gdy na morzu, w pustyni, czy wśród nocy wyiskrzonej gwiazdami czujemy się pełni nieskończonej miłości, słodko jest myśleć, że po tamtej stronie znajdziemy coś piękniejszego, większego, coś w skali naszej duszy, co zaspokoi to niezmierzone pragnienie szczęścia, które stanowi nasze cierpienie i naszą ludzką wielkość.

*

Będąc na najbardziej niesmacznej sztuce teatralnej, na najgorszym filmie, można się modlić, wymawiając w takt obrazów czy muzyki machinalne prośby. Za aktorów, za reżysera, za statystów, za tłum, co bawi się lub nudzi, za sąsiada z prawej, za sąsiadkę z lewej strony. Czas spędzony w ten sposób nie będzie zmarnowany.

*

Na bocianim gnieździe grotmasztu, kiedy nigdzie wokół nie widać lądu, posiada się wyłącznie dla siebie krąg horyzontu. A jednak chciało by się jeszcze odepchnąć tę linię, rozsadzić tę granicę, która pomimo wszystko nas więzi, bo jesteśmy stworzeni dla szerszych dali, niż marna rozciągłość ziemskiego widnokręgu.

*

Nasze pragnienie szczęścia jest zbyt wielkie, aby mogło być zaspokojone gdzie indziej, niż po tamtej stronie. Nawet ciału naszemu nie tu nie może dać pełnego zadowolenia. Żaden koń nie potrafi galopować po bieżni wszechświata, żaden statek, żadna fala nie zaprowadzi nas na drugi brzeg oceanów większych niż te, które znamy, żadna skocznia narciarska nie rzuci w przestrzenie międzyplanetarne, żaden ogrom nie zaspokoi pragnienia nieskończoności, co tkwi w naszym wzroku. Jesteśmy okiełznani ze wszystkich stron, my stworzeni dla nieograniczonego.

*

Jeśli ziarno nie obumrze.. Jest to jedno z najbardziej pocieszających zdań, bo nas łączy w jedną całość z losem świata i uprawnia w ten sposób nadmierność naszych marzeń. Piękno i życie rodzą się zawsze ze zgnilizny i cierpienia. Trzeba okrutnych bólów porodu, aby dać światło temu cudowi, jakim jest mały człowiek. Na cuchnącym nawozie wzrastają najdelikatniejsze kwiaty. Każda roślina rodzi się z uprzedniego rozkładu. Nie ma żadnego powodu, byśmy byli wyjęci spod tej powszechnej reguły, i wspaniała jest myśl, że jesteśmy na ziemi w stadium cierpienia i gnicia.

Śmierć tylko pozwoli nam się narodzić i przeniesie nas do jedynego świata, który możemy nazwać naszym.

Możemy sobie wyobrazić stopień wspaniałości tamtego świata, bo znamy naszą ziemię. Piękna twarz czy ciało kobiety, muzyka, co dociera do każdej komórki naszej istoty, rasowy koń, upojenie kołysanką fal czy pędem nart, wspaniałość nocy czy rozsłonecznionych dni, wrażenie pełności fizycznej, jakie nam daje morze czy pustynia, zadowolenie z wysiłku czy z dokonanego dzieła, myśl, obraz, posąg, co budzą w nas tajemne odźwięki, jasna dusza dziewczyny czy zakonnika, słowem wszystko to, co jest pięknem świata, przyczyną naszej radości i uniesień, wszystkie te rzeczy, które możemy kochać dla grającego w nich nikłego odblasku Boga, wszystko to jest nędzą w porównaniu z tym, co posiądziemy, z pięknem, dla którego zostaliśmy stworzeni.

Te parę lat spędzonych na małej i szarej ziemi, to doprawdy nie jest zbyt wiele, aby zasłużyć w bardzo małej mierze na dar nieskończoności.

Zwierzę, na które poluje się z nagonką, zmuszone jest do dokonania większego wysiłku, niż człowiek na szczytach Birmy. Ale tylko człowiek może nadać jakieś znaczenie swemu wysiłkowi. Trzynastoletni chłopiec, co wstaje o piętnaście minut wcześniej, żeby się pogimnastykować przy otwartym oknie, dokonuje wysiłku o większej wartości, niż szarża stada bawołów.

Mnogość dążeń ludzkich ku pięknu, ku dobru, ku doskonałości sprawia, że ludzkość wznosi się ciągle, jak ruch wzburzonych fal, którymi wzbiera masa oceanu. Każdy kamyk, każde ziarno piasku, każda kropla słonej wody drąży skały nadbrzeżne w maleńkim zakresie swej działalności. Każdy nasz wysiłek niszczy w nas to, co jest materialne i ziemskie, a ruch wszystkich wysiłków ludzkich jest tak nieprzerparty, odwieczny ruch kamyków i fal, który wykuwa naszą ścieżkę ku nieskończoności.

Nasz wysiłek nie jest bezużyteczny. Żaden wysiłek ludzki nie może być próżny.

*

Marzenia zbyt wielkie na naszą miarę ciążą nam czasem na barkach, sny zdobywcy, świętego, czy odkrywcy nowych światów, sny urzeczywistnione przez takiego Mermoza, Dżyngis-Chana, czy Franciszka z Asyżu. Nie powinniśmy się martwić, że jesteśmy tylko tym, czym jesteśmy. Najcudowniejszą przygodą jest nasze własne życie, a to jest na naszą miarę. Przygoda to krótka: trzydzieści, czterdzieści, osiemdziesiąt może lat, przez które trzeba nam przejść twardo, z zaopatrzeniem żaglowca, co steruje ku tej gwieździe w szerokiej dali, która jest naszą ucieczką jedyną i jedyną nadzieją.

Cóż znaczą wiatry, burze, czy bezwietrzna cisza, jeżeli świeci nam ta gwiazda. Bez niej nie pozostawałoby nic innego do zrobienia, jak wypluć duszę i zabić się z rozpaczy. Ale jest światło, którego poszukiwanie i pościg czynią z życia ludzkiego piękniejszą przygodę niż odkrycie nowego świata czy podniebny lot. Ta przygoda nie przekracza naszej miary. Wystarczy nam iść ku naszemu Bogu, aby być na miarę wieczności i to uprawnia wszystkie nasze marzenia.

*

Tylko Bóg z materii może stworzyć ducha.

*

Jesteśmy świadkami Boga.

Życie nasze jest tylko następstwem nieskończenie drobnych uczynków, które jednak pod Bożym błogosławieństwem formują naszą wieczność. Materialne dzieło sztuki jest jedynie skutkiem bardzo wielu dotknięć pędzla, albo uderzeń dłuta. Jego wartość materialną, jedyną prawdziwą, jest myśl artysty, która kierowała każdym ruchem i przez ich syntezę urzeczywistniła jego marzenie. My stwarzamy wieczność każdym naszym czynem. To jest nasza cudowna, ludzka moc. W każdym momencie budujemy nasze królestwo.

*

Czyn raz dokonany już się nie odwraca. Jego droga i skutki przedłużają się w niedostępnej dali. Stwarzamy rzeczy ostateczne i to przedłużenie naszych uczynków w wieczności stanowi naszą ludzką wielkość.

*

Kąpałem się w jeziorze Tyberiadzkim i w żagle moje schwyciłem wiatr przypowieści.

*

Urzędnik jakiś może być okropnym, mniej niż przeciętnym małomieszczaninem, ogłupiałym od biurokracji, o widnokręgu przyćmionym nadzieją awansu i emerytury. Ale jeśli ma serce, może i on na swoim nędznym statku płynąć ku Gwieździe.

*

Zdaje się niemożliwością przejść przez całe życie nie skosztowawszy nigdy słodyczy, jaką daje obecność kobiety. Osiągnąć to można przez zastąpienie potrzeby ludzkiej miłości głęboką miłością Boga, Boga samego czyniąc niezawodnym towarzyszem w każdej godzinie.

*

Robotnik ziemny i mnich powinni tak samo się modlić: Boże, daj, abym spełnił moje zadanie. Pierwszy powinien się starać, aby był dobrym robotnikiem, drugi — aby był dobrym mnichem. Los ich wcale nie jest różny. Obaj, używając wszystkich swych zdolności i darów, kształtować winni swą duszę i i tak pracować dla chwały Bożej.

Guy de Larigaudie

LESZCZ

HAMLET

Doświadczenie kilkunastu pokoleń udowodniło, że chociaż spór o jednoznaczną i pełną interpretację „Hamleta“ pozostaje ciągle otwarty, każda epoka na swój sposób przyswaja sobie i rozumie ten ciągle zagadkowy i zawsze porywający dramat.

Doświadczenia wielu teatrów nauczyły, że „Hamlet“ należy do niezawodnie urzekających widowisk, że trafia do każdego widza, że tekst literacki ma takie właściwości, które sprawiają, że wzrusza nawet przy fałszywych, wyraźnie błędnych interpretacjach.

Pokusa wystawienia „Hamleta“ musi być dla każdego reżysera niezwykle silna, wynika z pragnienia wypróbowania sił, talentu, inteligencji.

Tekst utworu mającego nieslychanie precyzyjną i trudną budowę wymaga zawsze radykalnych i bardzo ryzykownych skrótów. Samo sprepa rowanie dramatu, odrzucenie prawie połowy jego zawartości wymaga wielkiej i rozważnej pracy.



Reżyser filmowy decydujący się na filmowanie Hamleta ma zadanie o tyle trudniejsze, że obok konieczności jeszcze radykalniejszego obcięcia tekstu musi także znaleźć właściwą metodę przełożenia środków ekspresji teatralnej na środki ekspresji filmowej.

Różnice między teatrem a filmem są tak duże, że niejednokrotnie podawano w wątpliwość możliwość i celowość filmowania teatru. Dotychczasowe eksperymenty wyjaśniły, że dosłownie sfilmowany teatr bywa martwy, sztuczny, artystycznie chybiony. Wydaje się jasne, że tekst teatralny ujawniający przeżycia bohaterów przez słowa musi zostać wyrażony w innych kategoriach artystycznych właściwych sztukom plastycznym, że bohaterowie muszą legitymować się w działaniu — nie w dialogach. Dla realizatora filmowego problem wykorzystania dramatu scenicznego jest zagadnieniem filmowego wyrażenia tematu, charakterów, konfliktów, ale nie słów, nie dialogów bezpośrednio.

Już po tym uproszczonym ustawieniu zagadnienia można zrozumieć trudności w filmowym traktowaniu tekstów szekspirowskich, w których niemal każde zdanie jest artystycznie znaczące i znane. Realizatorzy „Hamleta“ nie mogli dialogów i słów przetransponować, zamienić; musieli je filmowo interpretować, wyrażać w kategoriach plastycznych nie usuwając ich. Oliwier i zespół jego współpracowników niewątpliwie udowodnili, że taką filmową transpozycję tekstu dramatycznego można wykonać i tego rodzaju interpretacja filmowa „Hamleta“ niezależnie od tego czy jest merytorycznie zgodna z naszym rozumieniem tekstu, jest artystycznie, plastycznie wymowna.

Alan Dent, autor scenopisu skracając „Hamleta“ przyjął zasadę usunięcia całych epizodów i postaci, wyrzucając 6 bohaterów i uzasadnił te cięcia albo zgodnością z ogólną przyjętą przez Oliviera koncepcją dramatu (na podstawie tej zasady usunięto Fortinbrasa) albo niefilmowością epizodów, w których odrzuceni bohaterowie biorą udział (Rosenkrantz, Guildenstern). W kilku wypadkach słowa usuniętych bohaterów włożono w usta innych. Zmiany te wydają się całkowicie zrozumiałe, konsekwentne i słuszne. Niepokojące natomiast są przesunięcia dokonane w kolejności poszczególnych scen i zupełnie dowolne zmiany sytuacji. Przesunięć takich jest sześć. Wydaje się, że żadne z nich nie jest uzasadnione kompozycyjnie. Przesunięcie monologu Hamleta tłumaczy się potrzebą uzasadnienia przyjętej interpretacji. Sądzę, że Olivier dostrzegając potrzebę dostosowania tekstu do swego rozumienia powinien był raczej zrewidować owo rozumienie, niemniej trzeba stwierdzić, że po dokonaniu przestawienia jego interpretacja merytorycznie fałszywa staje się bardzo wymowna, sugestywna i konsekwentna. Oto bowiem w tekście scena, kiedy Hamlet wysyła Ofelię do klasztoru, następuje po słynnym „być albo nie być“. Okrucieństwo, brutalność Hamleta wobec Ofelii, jego ironię, warunkuje napięcie wątpliwości i żarliwości monologu. Olivier tę brutalność uzasadnił jedynie podnieceniem i wzburzeniem wynikającym ze stwierdzenia po podsłuchanej rozmowie Poloniusza z królem kłamstwa Ofelii i dramatyczność tej sceny wykorzystał po to, by wzmocnić akcenty rozpaczy w przesuniętym, bezpośrednio następującym monologu. Monolog w tym ujęciu został wyposażony w ogromny ładunek emocjonalny, stał się jakimś tragicznym załamaniem bohatera, stracił natomiast charakter jakiegoś punktu zwrotnego, momentu powzięcia decyzji i zmagania się z wątpliwościami.

Szczególnie fałszywe i niczym nieuzasadnione wydaje się przesunięcie kolejności scen w przestawieniu rozmowy króla z Laertesem. Przy kolejności zastosowanej w filmie trudno zrozumieć walkę na cmentarzu i nienawiść Laertesa do Hamleta.

Zmianą niczym nieuzasadnioną jest wprowadzenie świadomej ofiary królowej, która podejrzewając podstęp z trucizną wypija zamiast syna zatruty napój. Być może, że Olivier chciał w ten sposób osłabić wrażenie konwencjonalności „natłoczenia“ trupów w ostatniej scenie, że chciał podkreślić csamotnienie w zbrodni króla przez oczyszczenie w świadomym poświeceniu się królowej. Nie wydaje się to jednak przekonywające. Najjaskrawszym jednak poprawieniem Szekspira jest przedstawienie momentu zranienia Hamleta po pojedynku, nie w czasie jego trwania. Trudno znaleźć argumenty usprawiedliwiające tę zmianę. Intencja podkreślenia przewagi Hamleta, zwyciężonego podstępem nie wystarcza.

Podkreślenie grzechów popełnionych wobec tekstu jest raczej krytyką scenopisu a nie samego filmu.

Jeśli by można było film rozpatrywać całkowicie niezależnie od dramatu Szekspira, należało by stwierdzić, że te fałszywe przesunięcia czy zmiany nie wpływają na artystyczną wymowę filmu, ogromnej części publiczności na pewno nie przeszkadzają w przyjęciu całości, są nawet dla tych, którzy znają pobieżnie tekst, niedostrzegalne. Niemniej są jakimś dowodem i niezrozumienia i jakiegoś braku poszanowania tekstu.

Film Oliviera podlega i musi podlegać podwójnej jakby ocenie. Należy określić jego wartość filmową w pewien sposób niezależną od zgodności z tekstem literackim i słuszności jego interpretacji i wyznaczyć miejsce, które zajmuje jako jedna z prób pokazania i rozumienia sławnego dramatu Szekspira.

Koncepcję reżyserską Oliviera wyrażają słowa wprowadzające w film „oto tragedia człowieka, który nie mógł się zdecydować“ jego drukowane wypowiedzi i inspirowany przez niego scenopis i wreszcie wynik tej koncepcji — film. Olivier-reżyser pojmuje Hamleta zgodnie z tradycją romantyczną. Tragedia Hamleta jest tragedią choroby woli. Hamlet więc powinien być pojęty „neurastenicznie“.

Stosunek do tekstu wyraża intencję reżysera, by podkreślić te elementy które akcentują moralny charakter dramatu usuwając, ponieważ istniała konieczność skrótów, wątki historyczne i polityczne. Wypowiedzi drukowane Oliviera świadczą o jego psychologizującym i romantycznym rozumieniu utworu, waha się nawet, czy nie przyznać pewnych racji freudowskiej próbie wyjaśnienia zagadki Hamleta Tymczasem uznając film za wynik tej błędnej koncepcji reżyserskiej należy stwierdzić, że Olivier-aktor przełamał jak najradykalniej założenia reżyserskie Jego Hamlet jest heroiczny, wszystko wiedzący, działający świadomie, udający szaleństwo. Błędy Oliviera-reżysera można dostrzec jedynie w fałszywej interpretacji monologu (pragnienie śmierci jako akcent główny a nie konflikt wątpliwości i decyzji) i w scenie z królową, kiedy można się dopatrzeć refleksu freudowskich wyjaśnień.

Podkreślenie moralnego charakteru dramatu zostało wyrażone wszystkimi środkami gry aktorskiej i plastycznej interpretacji. Rozwiązanie architektoniczne zamku stwarza nie tylko ramy sceniczne, miejsce stanowiące jedynie tło rozgrywających się wydarzeń (zbudowane tak, aby każdy szczegół był potrzebny w akcji) ale służy przez swoją uogólnioną ponadczasowość podkreślaniu elementów moralnie znaczących. Tę samą funkcję można przypisać strojom. Zastosowanie elementów z różnych epok historycznych w ubiorach bohaterów nie tylko jest tu rozwiązaniem trudności w czasowym ustawieniu dramatu, nie tylko służy scharaktetyzowaniu przez strój poszczególnych postaci, ale także jest elementem organizującym interpretację całości. Architektura i dekoracje nie stanowią przy tym elementu zdobiącego, pozostają tłem rażącym być może nawet ponurością. Estetycznie znaczącą rolę spełniają ludzie i ujęcia fotograficzne. W tym też, poza filmowością samego założenia, jest moment interpretacyjny: nie realia, nie miejsce i „powierzchnia rzeczy“, ale problematyka moralna, ludzkie sprawy, konflikty losów ludzkich są przedmiotem zainteresowania. Wreszcie zostawiono w tekście scenopisu epizod statyczny, mało filmowy, spełniający w akcji raczej funkcję retardacyjną — rozmowy Hamleta z aktorami. W rozmowie tej ważne są słowa określające zadanie sztuki, która ma być „zwierciadłem naturze, pokazywać cnocie jej własne oblicze, błędowi jego własny wizerunek.“

To podkreślenie charakteru moralnego, niehistorycznego „Hamleta“ zgodnie z aktorską interpretacją wydaje się przeczyć psychologizującemu neurastenicznemu pojmowaniu bohatera dramatu przełamanemu szczęśliwie przez Oliviera-aktora, staje się jasne bowiem, że dramat Hamleta jest tragedią losu, powołania, ale nie słabości i braku charakteru.

Olivier-reżyser potrafił ogromnie konsekwentnie wyzyskać możliwości filmu. Ruchliwa wnikliwość kamery organizuje wymowę każdego epizodu, pozwala zasugerować czujną obecność Hamleta, podkreślić jak w doskonale rozwiązanej scenie teatru w teatrze znaczenie każdego słowa, wywołać przez trzykrotne oddalanie się kamery nastrój osamotnienia spiskujących w scenie rozmowy króla z Laertesem. Doskonałym, niezwykle wymownym rozwiązaniem jest wprowadzenie wewnętrznego monologu. Monologi ujęte w formie podsłuchanych myśli a wyrażane tylko gestem, mimiką, mają naturalność i wzruszającą siłę szczerości.

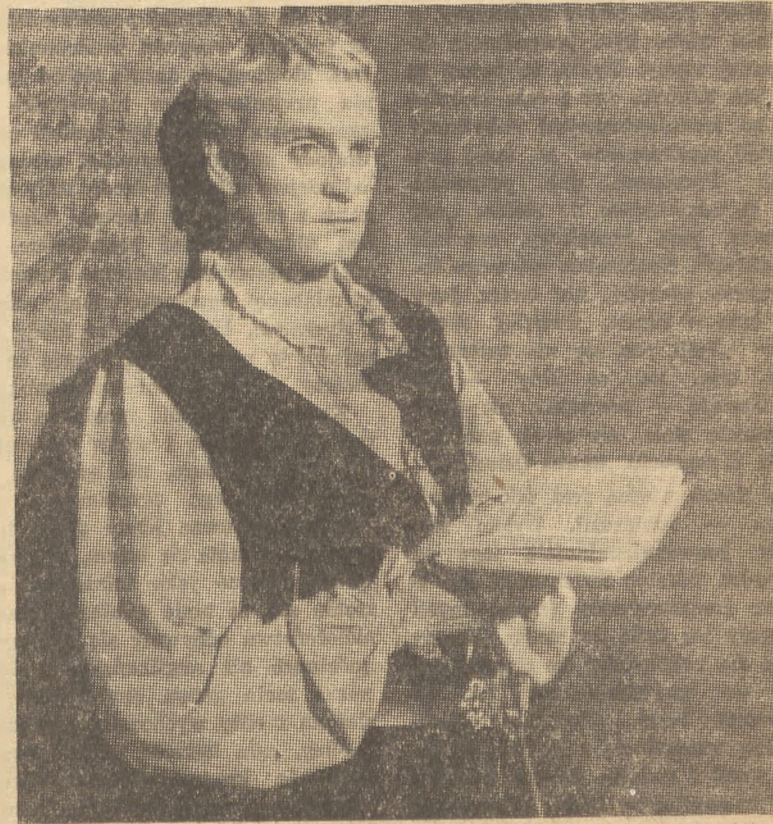
Zasługą Oliviera-reżysera jest wspaniały dobór wykonawców. Niewątpliwie do największych wartości filmu trzeba zaliczyć trafność umiejętność interpretowania plastycznie słów, wyrażania zawartości tekstu w kategoriach filmowych, i doskonały jednolity poziom gry aktorskiej. Sam Olivier dał wspaniałą lekcję gry, szlachetności gestu i ruchów, mimiki, modulacji głosu tak wymownej, że działającej nawet na ludzi zupełnie nieznających angielskiego. Wydaje się, że szczególnie pozostają w pamięci sceny — „wewnętrznego monologu“, epizody z Ofelią i moment rozmowy z królem po zabójstwie Poloniusza. Ujęcie roli Ofeli pojętej jako skrzywdzone dziecko — sceny szaleństwa, kiedy nie jest łatwo uniknąć sztuczności i groteski, wydają się bardzo trafne a przede wszystkim wzruszające szczerością i prostotą.

Nie wiem, czy najszczęśliwszym pomysłem było wprowadzenie paralelizmu pantominy w pokazaniu zabójstwa króla Hamleta. Retrospektywne ilustrowanie słów ducha niemą fotografią jest artystycznie uzasadnione, ale na pewno razi sztucznością.

Olivier-reżyser wyraźnie dąży do uzyskania wielkiej jednolitości filmu, To dążenie widać już w scenopisie, wyraża się całkowicie w całej realizacji filmowej. Jedność tonu i nastroju osiągnięto nie tyle przez konsekwentne skróty ale przede wszystkim przez plastyczną zasadę jednolitego w nastroju budowania tła. Sztuczne, ponure mroczne ramy wnętrza zamku, puste korytarze, spiralne schody stwarzają klimat grozy i wielkości. Dekoracje są raczej elementem organizującym nastrój, wyraźnie tłem, nie działają estetycznie. Wrażenie wielkości przestrzeni zwiększa zastosowanie fotografii o dużej głębi ostrości. Wydaje się, że czasem staranność, wyraźnie obmyślenie, obliczenie pięknej kompozycji poszczególnych klatek filmowych jest tak precyzyjne, że odbiera spontaniczność, szczerość interpretacji plastycznej. Dużą rolę w organizowaniu nastroju ma muzyka, sądzę że doskonałym chwytem jest zastosowanie motywów muzycznych związanych z poszczególnymi bohaterami, w ten sposób, że muzyka zapowiada obecność bohatera i w pewien sposób go określa. Owe dążenie do utrzymania jedności nastroju posuwa Olivier tak daleko że unika nawet tam gdzie sam wiersz, słowa narzucają wprowadzenie plenerów — wszelkich ujęć plenerowych. Śmierć Ofelii i scena na cmentarzu są jedynymi epizodami wyjścia z ponurego klimatu zamku.

Film Oliviera nawet dla tych, których boleśnie oburzają błędy w wyzyskaniu tekstu literackiego, błędy interpretacji, jest wielkim przeżyciem artystycznym. Na pewno dobitnie pokazuje możliwości, które daje sztuka filmowa w interpretowaniu tekstu literackiego, a przede wszystkim pozwala przeżyć „Hamleta“ milionom widzów, rozszerza zasięg odbiorców na tych, którym nazwisko Szekspira nic nie mówi.

LESZCZ



Graham GREENE

ŚLADY

tł. J. KOLENDO

DŁUGA podróż koleją w późny grudniowy wieczór jest przeżyciem uciążliwym. Sądzę, że zarówno ja jak i mój towarzysz podróży moglibyśmy się cieszyć, że mamy przedział dla siebie, pomimo, że ogrzewanie nie działało, światło gasło w częstych tunelach Apenin i zbyt było ciemno na czytanie bez zmęczenia oczu, nie było nawet wagonu restauracyjnego, żeby przynajmniej zmienić otoczenie. Usiłowaliśmy przeżuwać te same suche bułki kupione w bufecie na tej samej stacji, i dopiero to nas do siebie zbliżyło. Przedtem siedzieliśmy w przeciwległych kątach przedziału, obaj zatuleni po uszy w płaszcze, obaj pochyleni nad drukiem, który ledwo można było odczytać, ale kiedy rzuciłem resztki ciasta pod ławkę, oczy nasze spotkały się i on odłożył książkę.

Zanim przejechaliśmy połowę drogi do stacji węzłowej Bedwell, znaleźliśmy olbrzymią ilość tematów do dyskusji; zaczynając od bułek i pogody przeszliśmy do polityki, rządu, polityki zagranicznej, bomby atomowej i w nieuniknionej konsekwencji do Boga. Nie staliśmy się przez to jednak ani skwaszeni ani zgryźliwi. Mój towarzysz, który usiadł teraz na przeciwko pochylając się trochę naprzód tak, że kolana nasze niemal się stykały, robił wrażenie tak pogodne, że nie można by się z nim pokłócić, mimo że nasze poglądy różniły się i to różniły się zasadniczo.

Wkrótce zorientowałem się, że rozmawiam z katolikiem, z kimś, kto wierzy — jak oni to nazywają — w Bóstwo wszechmocne i wszechwiedzące, podczas gdy mnie można by określić jako agnostyka. Mam jakąś intuicję (której nie ufam, która jest oparta może na dziecinnych potrzebach i przeżyciach), która mówi, że Bóg istnieje; niezwykłe zbiegi okoliczności, które stają na naszej drodze jak sidła zastawione na lamparta w dżungli, zdumiewają aż do wiary; ale intelektualnie buntuję się przeciwko samemu pojęciu takiego Boga, który może zezwolić swemu stworzeniu nawet na zbrodnie wolnej woli. Przedstawiałem ten pogląd mojemu towarzyszowi, który przysłuchiwał się spokojnie, z szacunkiem. Nie usiłował mi przerywać, nie okazał zniecierpliwienia czy intelektualnego lekceważenia, którego przyzwyczaiłem się oczekiwać od katolików. Kiedy światła mijanej stacji padły na jego twarz, którą omijały dotąd promienie lampy w przedziale, pochwyciłem nagle błysk — czego? Przestałem mówić, tak silne było wrażenie. Przeniosłem się o dziesięć lat wstecz, na inny kraniec tego straszliwego, bezużytecznego konfliktu, do małego Gisors, miasteczka w Normandii. I znów przez chwilę wędrowałem po dawnych murach warownych patrząc z góry na poszarzałe dachy, dopóki oczy moje nie zatrzymały się z jakiegoś powodu na jednym spośród wielu kamiennych załomów, gdzie twarz mężczyzny w średnim wieku była przyciśnięta do okiennej szyby. Myślę, że twarz ta już nie istnieje, jak i całe to miasto ze średniowiecznymi zabytkami zostało przemienione w kupę gruzów. Pamiętam, jak powiedziałem ze zdumieniem do siebie: „ten człowiek jest szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy". Spojrzałem na mego towarzysza podróży, ale twarz jego już była w cieniu. Pocichu spytałem: „Jeśli pan się nie zastanowi nad tym, na co Bóg — jeśli istnieje — pozwala... nie tylko męczarnie ciała, ale niech pan pomyśli o zepsuciu, nawet dzieci...

— Nasza wiedza jest tak ograniczona — stwierdził. Byłem zrażony konwencjonalnością jego odpowiedzi. Musiał zorientować się w moim rozczarowaniu (nasze myśli zdawały się tulić do siebie jak my sami dla rozgrzania) bo ciągnął dalej — oczywiście nie ma odpowiedzi tutaj. Chwytamy ślad... Pociąg wtoczył się z hukiem w nowy tunel i światła znowu pogasły. Był to najdłuższy tunel, kołysząc się jechaliśmy w dół, a chłód jak lodowata mgła zdawał się zwiększać wraz z ciemnością (może kiedy jeden ze zmysłów — wzroku — odarty jest z możności odbierania wrażeń, inne stają się bardziej uczulone). Kiedyśmy się wydostali w szarość nocy a żarówka znowu zabłysła, widziałem jak mój towarzysz opierał się na ławce.

Powtórzyłem ostatnie jego słowo jak pytanie.

— Ślady?

— O, one mało znaczą napisane obojętnie czy obojętnie wyrażone — powiedział drżąc pod okryciem — i nie znaczą nic dla kogokolwiek poza tym, który je dostrzega. Nie są dowodem naukowym, właściwie żadnym dowodem. Zdarzenia, które jakoś nie wychodzą tak, jak były zamierzone przez ludzkich sprawców, albo coś, co za nimi stoi.

— Coś?

— Pojęcie szatana jest tak antropomorficzne.

Musiałem się ku niemu pochylić: chciałem się dowiedzieć, co miał do powiedzenia. Jestem, Bóg mi świadkiem, jestem gotów dać się przekonać.

— To tak trudno wyrazić, ale czasami odczuwam dla niego litość. Stale szuka właściwej broni, by jej użyć przeciwko swemu nieprzyjacielowi i broń ta grzęźnie w jego własnej piersi. Wydaje mi się czasem — tak bezsilny. Mówił pan przed chwilą o zepsuciu dzieci. To mi przypomniało coś z mego własnego dzieciństwa. Jest pan z jednym wyjątkiem pierwszą osobą, o której pomyślałem, żeby o tym powiedzieć, może dlatego, że pana nie znam. To nie jest długa historia i łączy się w pewnym sensie z tym, o czym mówiliśmy.

— Chciałbym się dowiedzieć!

— Niech pan nie oczekuje zbyt wiele. Ja widzę w tym ślad. To wszystko. Ślad.

*

Opowiadał powoli zwracając się twarzą do okna, chociaż naprawdę nie mógł nic widzieć w wirującym świecie na zewnątrz. Chyba od czasu do czasu lampę sygnałową, światło w jakimś oknie, wiejską stacyjkę porywaną wstecz naszym pędem; dobierał słowa starannie:

— Uczono mnie służyć do mszy, kiedy byłem dzieckiem. Kościół był mały, bo tam gdzie mieszkałem, było niewielu katolików. Było to handlowe miasto zachodniej Anglii, otoczone kredowymi płaszczyznami i wąwozami — tyloma wąwozami... Nie sądzę, żeby było więcej niż pięćdziesięciu katolików, ale dla jakichś powodów istniała tradycja wrogości w stosunku do nas. Możliwe, że datuje się od spalenia protestanckiego męczennika w szesnastym wieku; był kamień oznaczający miejsce stracenia, niedaleko od miejsca gdzie we środy stały stragany z mięsem. O niechęci wiedziałem niewiele, choć rozumiałem, że szkolne przezwisko Marcina Papieżnika miało coś wspólnego z moją religią i słyszałem, że mój ojciec kiedy się pojawił w mieście, był prawie że usunięty z klubu konstytucjonistów. Każdej niedzieli musiałem ubierać się w komżę i służyć do mszy. Nie znosiłem tego, nie znosiłem w ogóle wszelkiego przebierania się (co jest zabawne kiedy się o tym pomyśli). Ciągle się bałem, że stracę swoje miejsce jako ministrant, że zrobię coś, co mnie ośmieszy. Nasze nabożeństwa odbywały się w innych godzinach niż anglikańskie i kiedy nasza mała grupa bynajmniej nie złożona z elity wychodziła z ohydnej kaplicy, cała ludność miasta wydawała się kroczyć do właściwego kościoła — zawsze myślałem o nim, jako o właściwym kościele. Musieliśmy znosić ich wzrok obojętny, pogardliwy, ironiczny; nie może pan sobie wyobrazić jak poważnie może być traktowana religia w małym mieście, choćby ze względów towarzyskich.

Wyróżniał się człowiek, który był jednym z dwóch piekarzy w mieście, którego moja rodzina nie popierała. Nie sądzę, żeby go popierał ktokolwiek z katolików, nazywano go wolnomyślicielem — dziwne określenie dla biedaka, bo niczyje myśli nie były mniej wolne. Był on w więzach swej nienawiści — nienawiści w stosunku do nas. Brzydki zewnętrznie, z bielmem na oku, głowę miał jak rzepa, łysawą, nie był żonaty. Nie miał innych zainteresowań poza piekarstwem i nienawiścią, choć teraz kiedy dorosłem, zaczynam dostrzegać inne strony jego natury, była w niej może jakaś ukryta miłość. Można go było czasami niespodziewanie spotkać wędrującego po polach, szczególnie, jeśli się szło samemu i w niedzielę. Zdawało się, że wyrasta z wąwozów, a pył kredowy na jego ubraniu przypominał mąkę na roboczym kombinezonie. Miewał laskę w ręku i walił nią po po krzakach, a jeśli był w bardzo ponurym nastroju, wołał za spotkanym dziwnymi urywanymi słowami jakby w obcym języku — znam teraz znaczenie tych słów, naturalnie. Kiedyś policja przyszła do niego do domu, na podstawie tego, co jakiś chłopiec widział, ale nic z tego nie wynikło poza tym, że nienawiść pochłonęła go jeszcze bardziej. Nazywał się Blacker i przerażał mnie. Zdaje mi się, że szczególnie nienawidził mego ojca — nie wiem dlaczego. Ojciec był kierownikiem Midland Banku i możliwe, że Blacker mógł mieć jakieś sprawy niekorzystnie w banku załatwione, ojciec był człowiekiem bardzo ostrożnym, cierpiącym przez całe życie z niepokoju o pieniądze, swoje i cudze. Kiedy usiłuję opisać teraz Blackera, widzę go, kiedy wędruje zwężającą się ścieżką pomiędzy dwiema wysokimi ścianami bez okien, a na końcu tej ścieżki stoi dziesięcioletni chłopiec, którym ja jestem. Nie wiem, czy to jest obrazek symboliczny czy wspomnienie któregoś z naszych spotkań, które stawały się jakoś coraz częstsze. Mówił pan o zepsuciu dzieci. Biedny ten człowiek przygotowywał zemstę na wszystkim czego nienawidził: moim ojcu, katolikach, Bogu, w którego ludzie uparli się wierzyć, a wszystko przez zdeprawowanie mnie. Powziął plan, ohydny i jakże przemyślny.

Przypominam sobie, kiedy się do mnie pierwszy raz przyjaźnie odezwał. Przechodziłem obok jego sklepu tak szybko jak tylko mogłem, kiedy usłyszałem wołający mnie jego służalczy głos. „Paniczu Dawidzie, paniczu Dawidzie!" Przyśpieszyłem kroku, jednak kiedy następnym razem przechodziłem tamtędy, stał w swoich drzwiach (musiał zobaczyć, że nadchodzę) z ciastkiem w ręku, które nazywamy warkoczykiem Chelsea. Nie chciałem go wziąć, ale mnie zmusił i nie mogłem okazać się niegrzeczny kiedy zaprosił mnie do bawialni za sklepem, żebym zobaczył coś zupełnie niezwykłego.

Była to mała kolej elektryczna, rzecz w owym czasie rzadka; uparł się pokazać mi jak działa. Kazał mi przekręcać kontakty, zatrzymywać ją, puszczać w ruch i powiedział mi, że mogę przychodzić każdego dnia i bawić się nią. Użył słowa bawić się, jakby to była jakaś tajemnica, to prawda, że nigdy nie mówiłem w domu o zaproszeniu i o tym, że chyba ze dwa razy na tydzień w czasie tych wakacji chęć kierowania kolejką stawała się tak przemożna, że oglądając się w górę i w dół ulicy, żeby stwierdzić, czy nikt nie patrzy na mnie, wsuwałem się do sklepu.

Nasz większy, bardziej zakurzony „dorosły" pociąg wtoczył się do tunelu i światło zgasło. Siedzieliśmy w ciemności i w milczeniu, hałas pociągu zatykał nam uszy jak wosk. Kiedy tunel był za nami, nie od razu zaczęliśmy rozmawiać. Musiałem go pobudzić, żeby ciągnął dalej.

— Ależ przemyślne kuszenie.

— Niech pan nie myśli, że jego plany były tak proste. W jego zamyśle więcej było nienawiści niż kochania. Biedak... Czy może pan nienawidzieć czegoś w co pan nie wierzy. A jednak nazywał siebie wolnomyślicielem. Cóż za niemożliwy paradoks — być wolnym i mieć taką obsesję. Dzień po dniu przez cały czas tych wakacji jego obsesja musiała rosnąć, ale opanowywał ją; czekał na sposobność. Może ten, o kim wspomniałem udzielał mu siły i rozwagi. Był już tylko tydzień do końca wakacji, kiedy wypowiedział to, co go tak dręczyło. Usłyszałem go za sobą, kiedy klęcząc na podłodze łączyłem dwa wagony. Rzekł: „Paniczu Dawidzie, nie będzie pan mógł tego robić, kiedy się zacznie szkoła". Nie było to zdanie bardziej wymagające odpowiedzi niż to, które po nim nastąpiło. „Powinien panicz mieć to na własność, powinien". Jakże zręcznie i nieznacznie zaszczepił pragnienie, myśl możliwości... Przychodziłem do jego bawialni teraz codziennie. Widzi pan, musiałem wykorzystać każdą okazję zanim znienawidzony termin rozpoczęcia szkoły nastąpi, myślę że przywykłem do Blackera, do jego bielma na oku, głowy jak rzepa, obmierzłej służalczości. Wie pan, Papież nazywa siebie „sługą sług Bożych" a Blacker — myślę niekiedy, że Blacker był „sługą sług...". No, zostawmy to.

*

Następnego dnia, stojąc we drzwiach i obserwując mnie, jak się bawię, zaczął ze mną rozmawiać o religii. Powiedział, jak dalece kłamliwie nawet ja oceniłem, że bardzo katolików poważa, że chciałby jak i oni wierzyć, ale jak może wierzyć piekarz?... Tak zaakcentował „piekarz" jakby mówił „biolog", a maleńka kolejka sunęła po owalnych szynach. Dodał „mogę upiec tak jak i każdy katolik to, co wy spożywacie" i znikł w sklepie. Nie miałem najmniejszego pojęcia o co mu chodzi. Ale znowu wrócił trzymając w ręku mały opłatek. „Proszę to zjeść i powiedzieć mi..." Kiedy go wziąłem do ust, mogłem stwierdzić, że był tak samo zrobiony jak nasze komunikanty, nie udał mu się trochę kształt, i to było wszystko. Poczułem się winny i instynktownie przerażony.

— Powiedz mi jaka jest różnica? — rzekł.

— Różnica? — zapytałem.

— Czyż nie jest taki sam jak ten co dostajesz w kościele. — Nie był konsekrowany — odpowiedziałem zadowolony z siebie.

— Czy myślisz, że rozróżniłbyś je gdyby oba położyć pod mikroskopem?

Ale nawet jako dziesięcioletni chłopak miałem odpowiedź na to: „Nie" — rzekłem. Przypadłości nie ulegają zmianie — zająknąwszy się trochę na słowie przypadłości, które skojarzyło mi się z pojęciem śmierci i ran.

Blacker powiedział z nagłą siłą: „Jakżebym chciał mieć w ustach jeden z twoich, właśnie żeby się zorientować..."

Może się to panu wydać dziwne, ale pierwszy raz wtedy pojęcie Przeistoczenia rzeczywiście mnie zastanowiło. Nauczyłem się tego na pamięć, wychowałem się w tym. Msza była równie pozbawiona życia, co zdanie w „De bello Gallico"; komunia przyzwyczajeniem jak musztra na szkolnym dziedzińcu, aż tu nagle miałem przed sobą człowieka, który to traktuje poważnie, tak poważnie jak ksiądz, który oczywiście się nie liczy, bo to jego zawód. Byłem coraz bardziej przerażony.

Dodał: „To wszystko głupstwo, ale jednak chciałbym mieć go w ustach".

— Gdyby pan był katolikiem, to by pan mógł — odpowiedziałem naiwnie. Spojrzał na mnie swym jednym zdrowym okiem jak cyklop.

— Służysz do mszy, prawda? Byłoby ci łatwo dostać się do jednego z nich. Ja ci powiem, co zrobimy. Zamienię tę elektryczną kolej na jeden z twoich opłatków — oczywiście konsekrowanych. Musi być konsekrowany.

— Mógłbym dla pana wyjąć jeden z puszki — powiedziałem. Wydaje mi się, że w dalszym ciągu wyobrażałem sobie, że jego zainteresowanie było ciekawością piekarza, że chciał zobaczyć jak są wykonane.

— Ach nie — zaprzeczył — chcę wiedzieć jaki jest smak twego Boga.

— Tego nie mogę zrobić.

— Nawet za elektryczną kolej, na własność? Nie miałbyś żadnych kłopotów w domu. Zapakowałbym, włożył kartkę wewnątrz, tak żeby twój ojciec mógł zobaczyć. „Synkowi szefa mego banku — od wdzięcznego klienta" — byłby uradowany. Dla nas dorosłych wydaje się to prostacką pokusą — prawda? Ale niech pan postara się wrócić myślą do własnego dzieciństwa. Na podłodze u stóp naszych leżał cały komplet szyn prostych i zakrzywionych, z małą stacyjką, tragarzami, pasażerami, tunelem, z pomostem dla pieszych, mijanką, dwoma sygnałami, buforami, no i oczywiście, co najważniejsze — z tablicą rozdzielczą. Łzy pragnienia zakręciły mi się w oczach, kiedy spoglądałem na tablicę rozdzielczą. To był mój ulubiony przedmiot. Wyglądał tak brzydko i prawdziwie i był nieodzowny. — Powiedziałem słabo: „Nie wiem jak..."

Jak starannie obmyślił szczegóły! Musiał niejednokrotnie podczas mszy wsunąć się do kruchty kościoła. Na nic by mu nie przyszło — rozumie pan — w małym miasteczku podejść przy rozdzielaniu komunii św., wszyscy wiedzieli kim był. Podpowiedział mi: „Kiedy otrzymasz komunię, możesz wsunąć ją na chwilę pod język. Ksiądz udziela ją tobie i drugiemu chłopcu. Najpierw, a widziałem kiedyś, że zaraz po tym odszedłeś za zasłonę, zapomniałeś jednej z tych buteleczek."

— Ampułek — poprawiłem — Sól i pieprz — wykrzywił się niby dobrodusznie a ja — no cóż — spoglądałem na kolejkę, którą już nie będę się mógł bawić, jak zacznie się rok szkolny.

— Pan ją tylko połknie — prawda?

— Tak po prostu połknę.

Jakoś już mi się nie chciało bawić kolejką tego dnia. Wstałem i poszedłem ku drzwiom, ale powstrzymał mnie chwytając za klapy. Rzekł: „To będzie sekret pomiędzy tobą a mną, jutro jest niedziela. Przyjdź po południu. Włóż do koperty i wyślij mi. W poniedziałek wcześnie rano dostarczę kolejkę.

— Nie jutro — prosiłem.

— Żadna inna niedziela mnie nie interesuje, to jest jedyna okazja dla ciebie. Potrząsnął mną lekko. To musi być nasza tajemnica na zawsze. No, jeśli by się ktoś dowiedział, odebraliby ci kolejkę, wiedz, że miałbyś ze mną do czynienia. Pokaleczyłbym cię strasznie. Wiesz, że zawsze krążę po okolicy podczas niedzielnych spacerów. Nie uchronisz się przed takim człowiekiem jak ja. Zjawiam się niespodziewanie, nawet we własnym domu nie byłbyś bezpieczny. Znam

sposoby na to, by dostać się do mieszkania, kiedy ludzie śpią." Zaciągnął mnie do sklepu i otworzył szufladę. W szufladzie leżał dziwnie wyglądający klucz i brzytwa. Dodał jeszcze: „Oto najlepszy klucz, co otwiera wszystkie zamki, a to... tym ja ludziom upuszczam krwi..." Poklepał mnie po policzku pulchnymi umączonymi palcami i rzucił: „Zapomnij o tym, jesteśmy przyjaciółmi".

Tę mszę niedzielną ze wszystkimi szczegółami widzę w pamięci, jakby się to działo tydzień temu. Od Confiteor do chwili Przeistoczenia wszystko miało straszliwe znaczenie, jedna jeszcze msza była równie dla mnie ważna, a może nawet i nie, bo tylko ta jedna msza nie mogła się powtórzyć. To wydawało się tak ostateczne, jak Ostatni Sakrament, kiedy ksiądz pochylił się nade mną i włożył mnie klęczącemu przed ołtarzem razem z drugim ministrantem w usta opłatek.

Zdaje mi się, że zdecydowałem się popełnić ten straszliwy czyn — bo rozumie pan — dla nas to musi być zawsze straszliwy czyn — od chwili kiedy ujrzałem Blackera obserwującego mnie z tyłu kościoła. Włożył na siebie najlepsze, odświętne, czarne ubranie i tak, jakby nie mógł zupełnie uciec od piętna swego zawodu, miał na policzku plamę zaschłego talku, którego prawdopodobnie użył po goleniu się tą swoją brzytwą. Obserwował mnie bacznie przez cały czas i myślę, że to strach, strach przed tą straszną i nieokreśloną rzeczą nazywaną „puszczeniem krwi", zarówno jak chciwość skłoniły mnie do wykonania jego poleceń.

Drugi ministrant szybko podniósł się i biorąc patenę wyprzedził księdza Carey'a do balasek przed ołtarzem gdzie klęczeli inni komunikujący. Miałem Hostię schowaną pod językiem; piekła jak oparzenie. Podniosłem się i skierowałem do zasłony, żeby wziąć ampułki, które umyślnie zostawiłem w zakrystii. Tam obejrzałem się szybko wkoło, szukając miejsca do ukrycia, i dostrzegłem stary egzemplarz „Universu" leżący na krześle. Wyjąłem z ust Hostię i umieściłem ją między kartkami — mały, wilgotny zwitek papki. Pomyślałem wówczas, może ksiądz Carey specjalnie pismo zostawił i znajdzie Hostię, zanim będę miał czas ją wyjąć. Straszliwość mego czynu uprzytomniłem sobie kiedy spróbowałem sobie wyobrazić karę która by mnie spotkała. Morderstwo jest stosunkowo proste dla określenia odpowiedniej kary. Ale dla tego czynu rozum nie widział żadnego zadośćuczynienia. Starałem się Hostię wyjąć, ale przykleiła się do papieru. Z rozpaczy wyrwałem część pisma i zmięwszy wcisnąłem do kieszeni spodni. Niosąc ampułki wróciłem przed zasłonę i zobaczyłem wzrok Blackera. Posłał mi grymas otuchy i udręczenia — tak, jestem pewny, udręczenia. Może ten biedny człowiek ciągle szukał kogoś, kogo nie można zdeprawować.

*

Nie wiele sobie jeszcze przypominam z tego dnia. Wyobrażam sobie, że byłem wstrząśnięty i nieprzytomny, jednocześnie porwany rozgwarem rodzinnej niedzieli. Niedziela w prowincjonalnym mieście jest dniem poświęconym krewnym. Cała rodzina jest w domu i mało znajomi kuzyni i wujkowie skłonni są zjawić się upakowani na tylnych siedzeniach cudzych samochodów. Pamiętam, że jakiś tłum tego rodzaju zjechał do nas i odsunął w myślach Blackera na dalszy plan. Był ktoś, nazywany ciotką Lucy, która się głośno zaśmiewała pustym śmiechem wypełniającym dom sztuczną wesołością, podobnym do śmiechu z płyty gramofonowej nagranej w sali krzywych zwierciadeł; nie miałem możności wyjść samemu, nawet gdybym chciał. Kiedy nadeszła szósta, ciotka Lucy razem z kuzynami odjechała i powrócił spokój, było za późno na pójście do Blackera, a o ósmej musiałem kłaść się do łóżka.

Zdaje mi się, że prawie zapomniałem o tym, co mam w kieszeni. Kiedy ją opróżniałem, mała kulka zadrukowanego papieru szybko przypomniała mi mszę, pochylonego nade mną księdza, uśmiech Blackera. Położyłem pakiecik na krześle obok łóżka i starałem się usnąć, ale prześladowały mnie cienie na ścianach, które rzucały drgające firanki, skrzypienie sprzętów, szelest w kominie, niepokojony obecnością Boga — tam na krześle. Hostia była dla mnie zawsze — no, po prostu Hostią. Wiedziałem w zasadzie, jak już wspomniałem, w co mam wierzyć, kiedy jednak ktoś zagwizdał z zewnątrz na drodze, zagwizdał tajemniczo, w sposób dla mnie zrozumiały, pojąłem, że to co jest koło mego łóżka posiada wartość nieskończoną, coś za co człowiek zapłaci całym spokojem duszy, coś co tak było znienawidzone, że można ukochać, jak się kocha prześladowane dziecko. To są dorosłe słowa. Ale tam dziesięcioletnie dziecko przerażone leżało w łóżku przysłuchując się gwizdaniu z ulicy, gwizdaniu Blackera, ale sądzę, że odczuwało wyraźnie to, co panu przedstawiam teraz. Oto co rozumiem kiedy mówię o kimś, kimkolwiek jest, który chwyta za każdą możliwą broń przeciwko Bogu, ale zawsze i wszędzie jest rozczarowany w chwili sukcesu. Musiał być mnie tak pewny, jak pewny mnie był Blacker. Musiał być pewny i Blackera. Ale zastanawiam się czy gdyby wiedział, co się później stało z tym biedakiem, czy nie okazało by się, że ta broń skierowała się w jego własną pierś.

Wreszcie już nie byłem w stanie dłużej znieść tego gwizdania i wyskoczyłem z łóżka. Rozsunąłem nieco firanki i tam, wprost pod moim oknem stał Blacker z twarzą oświeconą blaskiem księżyca. Gdybym wyciągnął rękę w dół, podnosząc palce mógłby dotknąć moich. Spojrzał do góry na mnie błyskając jednym zdrowym okiem z pożądaniem — rozumiem teraz, że bliskość sukcesu musiała podniecić jego obsesję niemal do szaleństwa. Rozpacz przygnała go pod dom. Szeptem zapytał „Dawid, gdzie to jest?" Wskazałem głową w głąb pokoju. „Daj mi. Szybko. Dostaniesz rano kolejkę." Potrząsnąłem głową przecząco. Powiedział: „Mam ze sobą brzytwę i klucz. Radzę ci rzuć ją na dół."

„Niech pan odejdzie — rzekłem — choć ledwo mogłem mówić ze strachu". „Najpierw ci krwi popuszczę, a potem i tak ją wezmę".

„O nie, pan jej nie weźmie"—podszedłem do krzesła i podniosłem to... J e g o. Było tylko jedno miejsce, gdzie byłby bezpieczny. Nie mogłem oddzielić Hostii od papieru. Połknąłem razem. Gazetowy papier przywarł do podniebienia jak skórka śliwki, ale spłukałem wodą z dzbanka. Wróciłem wolno do okna i spojrzałem w dół na Blackera. Zaczął mnie przekonywać: „Co pan z tym zrobił, Dawidzie? O co właściwie chodzi? To tylko kawałek chleba" — wpatrując się tak pożądliwie i błagalnie, że nawet jako dziecko zastanowiłem się, czy mógłby tak myśleć, a jednak tak tego pragnął.

„Połknąłem".

„Połknąłeś?"

„Tak, niech pan odejdzie".

Wtedy stało się coś, co teraz wydaje mi się straszniejsze niż jego zamiar zdeprawowania mnie, czy mój bezmyślny czyn: zaczął płakać — łzy leciały ze zdrowego oka, a jego ramiona trzęsły się, widziałem jego twarz tylko przez chwilę, zanim opuścił głowę i odszedł. Łysa głowa jak rzepa trzęsła się w ciemności. Kiedy myślę o tym teraz, to prawie tak, jakbym widział tego kogoś szlochającego nad nieuniknioną klęską. Starał się użyć mnie jako narzędzia walki, ale pękło w jego dłoniach i płakał beznadziejnymi łzami jednym okiem Blackera.

Czarne kominy stacji Bedwell zagęściły się wzdłuż szyn, sygnały zabłysły i przesunięto nas na inny tor. Fontanna iskier, światło sygnału zmienia się na czerwone, wysokie kominy tryskające w szare, nocne niebo, kłęby pary ze stojących lokomotyw — połowa podróży w tym zimnie była już za nami, teraz zostało długie oczekiwanie na powolny podmiejski pociąg.

— To interesująca historia — rzekłem. — Myślę, że oddałbym Blackerowi to, czego chciał. Ciekawy jestem co by z tym zrobił. Jestem przekonany, że włożyłby pod mikroskop zanim by zrobił to wszystko, co jak sądzę zamyślał.

— A ślady — spytałem — nie zupełnie rozumiem, co pan przez to rozumie.

— Ach — odpowiedział niejasno — widzi pan, dla mnie ta sprawa to był przedziwny początek — nigdy bym się nie dowiedział, o co mu chodziło, gdyby przy wstawaniu i sięgnięciu po walizkę z półki nie rozchylił się jego płaszcz i nie odsłonił księżej koloratki.

— Przypuszczam, że ksiądz myśli, że wiele ma do zawdzięczenia Blackerowi?

— Tak — odparł — widzi pan, jestem człowiekiem bardzo szczęśliwym.

Graham Greene

Książka o realizmie w modlitwie

W 43 n-rze br. „Tygodnika Powszechnego" pisał Piotr Szary w artykule pt. „Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata" bardzo przekonująco o sprzeczności, jaka tkwi w każdej duszy ludzkiej między absolutnym oddaniem się Bogu, a koniecznością i obowiązkiem trwania w ludzkiej rzeczywistości. Stwierdził, że czasy dzisiejsze bardziej, niż kiedykolwiek wymagają nie odrywania się od doczesności, ale właśnie zespolenia z nią ściślejszego i przepojenia nawet drobnych, ludzkich spraw i naszego codziennego życia myślą i prawdą Bożą. Wymagają zstąpienia z samotnych wyżyn, przezwyciężenia „pokusy izolacji duchowej" i „przepojenia ludzkich spraw, życia społecznego i kulturalnego wartościami Bożymi."

Świeżo wydana książka ks. Piotra Charles'a*) autora „Modlitwy na każdą godzinę" stanowi w dużej mierze mimowolny odzew na hasła rzucone w wymienionym artykule. Jest nieprzeciętnym, nowym zjawiskiem w literaturze życia wewnętrznego. Do niezmiernego bogactwa ascetyki dorzuca nową formę modlitwy: modlitwę rzeczy. Rozważania O. Charles'a są pracą bardzo ciekawie ujętą. Autor uczy modlitwy, która zwiąże nas z otaczającym światem, pokazując na przedmiotach myśl Bożą w nich zawartą. Skojarzenie myśli i prawdy Bożej z martwymi, materialnymi rzeczami, przeprowadza autor bardzo subtelnie i wnikliwie. Czytelnik podziwia w każdym rozważaniu bogactwo treści, ciekawych, niezwykłych powiązań, podanych w pięknej artystycznej oprawie. Wątkiem rozważań są cytaty z Pisma Świętego, z psalmów, słowa Chrystusa, które tak często mówią w swym natchnionym realizmie o przedmiotach naszego codziennego życia. Autor nawiązuje więc do tej tradycji i każde rozważanie łączy z jakimś przedmiotem, z rzeczą. Mówi o drzewie, drzwiach, kluczu, który je zamyka i otwiera, o ścieżce polnej , krześle, stole czy pokoju, który jest schronieniem naszym i warsztatem pracy, o piórze, które utrwala myśl, o książce, która ją przechowuje i przekazuje, o słowie ludzkim i jego posłannictwie, o sensie życia kwiatu, świetle, wodzie i pożywieniu — o tym wszystkim, co tworzy świat, ziemię, z którą jesteśmy związani i której nam nie wolno lekceważyć, którą powinniśmy kochać z wszystkimi jej rzeczami.

Autor uczy nowego, świeżego wejrzenia na otaczającą nas rzeczywistość, prowadzi duszę nowymi ścieżkami na spotkanie Boga. Mówi: „spróbujmy iść po prostu do Boga ścieżyną rzeczy albo, jeszcze lepiej — spróbujmy spotkać się z nim w tych rzeczach, które nie naszym są dziełem, lecz Jego i które o Nim tylko mówią"

„... nie trzeba udawać przed sobą, że te rzeczy nie istnieją, albo sądzić, że nie są warte większej uwagi."

„...modlić się zawsze to nie znaczy odrywać się bez przerwy od wszystkiego co nas otacza... modlić się zawsze to tyle, co splatać się całą duszą z myślą Bożą taką, jaka się objawia w Jego dziełach, podobnie, jak czytać książkę, znaczy zżywać się z myślą autora, którą wyraża on w swoich słowach."

„...żeby pójść po śladach Bożych, nie powinniśmy, nawet nie możemy, porzucać ziemi. Ona jest Jego mieszkaniem i każdy jej szczegół głosi chwałę Przedwiecznego!"

Praca Ks. Charles'a przynosi czytelnikowi wielkie bogactwo materiału myślowego, ujętego w nową, oryginalnie pomyślaną formę. Uczy o obecności ducha w otaczającym nas świecie. Uczy nas, jak — nie porzucając ziemi i nie wyrzekając się jej, wznieść się przez twory do myśli Bożej ożywiającej je. „Wydaje mi się, — snuje swe myśli autor — że człowiekowi niespokojnemu, jakim jestem, wystarczy wpatrzeć się w Twoje dzieło, a ta kontemplacja stanie się już modlitwą..." „...między Twoim dziełem a moją duszą zaczyna ustalać się jakieś Boże, serdeczne braterstwo. Łaska Twoja nie spływa na nas li tylko przez słowa i książki. Po królewsku zaprasza nas przez wszystkie rzeczy, które stworzyłeś i których losem Twoja Opatrzność bez przerwy kieruje..."

„Modlitwa wszystkich rzeczy" ujęta jest w piękną formę literacką. Autor jest świetnym szermierzem słowa, które u niego lśni i mieni się się coraz to inną barwą. Pozornie proste zestawienie martwych przedmiotów z problemem moralnym czy myślą głęboko sięgającą uderza na każdej karcie tej niezwykłej książki i zmusza czytelnika do podziwu, że jednak tych tak zwykłych pozornie skojarzeń — nie umiał sam odnaleźć. Tym większą też czuje wdzięczność dla autora, że mu te powiązania rzeczy materialnych z Bożą w nich myślą w tak piękny sposób pokazał.

Tłumaczenie doskonałe, oddaje w całej pełni piękno stylu i języka oryginału, podążając swobodnie i lekko za stylem autora. Książka o nieprzemijającej, głębokiej wartości, doskonale dostrojona do umysłowości współczesnego katolika.

A. R.

*) *Ks. Piotr Charles T. J. Modlitwa wszystkich rzeczy.* Biblioteka Życia Wewnętrznego. Tom XLIV. Z drugiego wydania francuskiego przełożyła Felicja Zielińska. Warszawa 1950. Wydawnictwo Księży Jezuitów.

Kazimierz PIEKUT

Wspomożenie wiernych

Samotnie pełznącą chmurę
wschód tysiącem ognistych mieczów podziurawił.
Mgły białe — jak rozlane mleko z porannego udoju —
parują w kotlinach,
Nad łąką przeleciał jastrząb ogromny jak samolot,
o czub dębu o mało nie zawadził.
ostrzem spojrzenia zmierzwił liście,
z gniazd wypłoszył ptaki
i zapadł się w krzyku kuropatwy kwoki,
co strzegła snu swych młodych
na kępie w wiklinach.
Opiekunko trosk matek i niewiedzy piskląt
utrudzona czuwaniem nocnym,
ku pomocy przybądź,
ku ratunkowi w porę pośpiesz —
Maryjo...

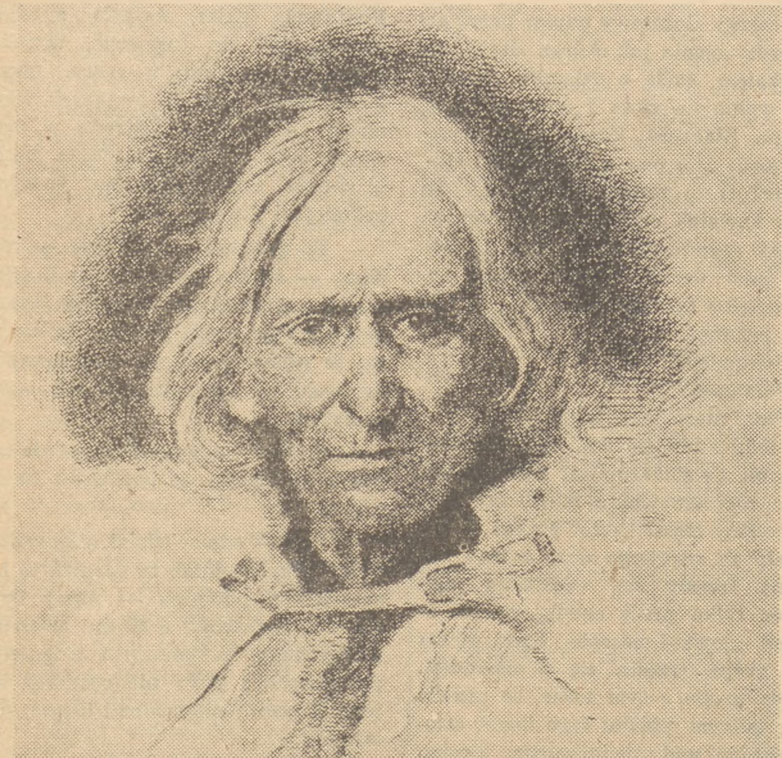
Panno roztropna, Panno mądra...

Panno roztropna, która lilii pąkł
piastujesz jak Dzieciątko własne —
niech kwitną, niech rosną.
Spójrz: jak wielka jest rozpacz mrówek,
które fale z rozmytego mrowiska unoszą.
Zazdrość tęczy łamie motylom skrzydła w locie,
z gniazda wypadło słowicze pisklę nieostrożne.
Ratuj motyle,
ratuj mrówki,
matkę słowika pociesz —
Panno Mądra...
z gniazda wypadło słowicze piskle nieostrożne.

Salvatore QUASIMODO *przełożył: Mikołaj ROSTWOROWSKI*

Ojczyzną moją jest Italia

Im dalej w przeszłość dni odchodzą
tym żywszym rytmem je przybliża serce poety.
Oto obraz polskich nizin: równina Kutna,
której jedyne wzniesienia
to stosy poległych płonące w oparach nafty.
Oto Izrael za kolczastym drutem,
tam — krew sponiewieranych i wrzody ropiejące,
nędzarzy szereg, zmarłych wcześniej nim ich
salwa dosięgła nad rowem własnymi dłońmi kopanym.
Oto Buchenwald, jego lasy bukowe
i jego piece przeklęte; oto Stalingrad
i Mińsk nad moczarami i biel śniegu splugawiona.
Poeci nie zapominają.
Biada rzeszy poniżonych przez los, zwyciężonych przez wroga,
niechronionych przez miłosierdzie!
Wszystko się zmieni, tylko zmarli nie powrócą.
Ojczyzną moją jest Italia, niech słyszy nieprzyjaciel,
to o jej ludzie jest pieśń moja, o płaczu, który
tonie w morza łoskocie, o matek żałobie
nieszczelnie ból kryjącej... Ludu mojego życie śpiewam.



Sabała

Włodzimierz WNUK

NA NUTĘ

„Sabała, Sabała, Sabałowe dzieci
Ej, jak Sabała umrze, syćko się roz-
[leci“

śpiewają górale spod Giewontu. Piosenka, powstała jeszcze za życia Sabały, zdawała się być proroczą. Zanosiło się bowiem na to, że po śmierci starego grajka i gawędziarza umilknie ludowa muza, zrodzona w Kościelisku. A przecież nie umilkła. Nie tylko dlatego, że tacy pisarze, jak Sienkiewicz i Witkiewicz, uwiecznili dzieło Sabały, ale i z tego powodu, że odżyło ono w jego potomkach, którzy tworzą „na Sabałową nutę“ po dziś dzień. Jednym z nich jest Stanisław Nędza Kubiniec, rodem z tego samego Kościeliska, prawnuk Sabały po kądzieli. Autor poematu „Janosik“, wysoko dzierżący sztandar poezji ludowej, jest dobrze znany w szerokich kołach miłośników literatury. Mniej natomiast znany jest drugi potomek Sabały, który za swego życia „grał“ z powodzeniem na rodowych gęślikach, a któremu dzisiaj należy się choć garść wspomnień.

Stanisław Krzeptowski Biały, bratanek Jana Krzeptowskiego Sabały, urodził się w Kościelisku w r. 1860. Ojciec jego był długoletnim wójtem w Kościelisku i pierwszym miejscowym gospodarzem, niepozbawionym żyłki artystycznej: wyrabiane przez niego stalowe toporki w kształcie orlich głów na obuszku, z misternie rytymi w stali widokami gór, cieszyły się dużym wzięciem wśród turystów zjeżdżających na Podhale z końcem XIX w. Dzieci w chałupie wójta nie brakowało — urodziło się ich i wychowało pod tym samym dachem dwanaścioro. Jednym z nich był Stanisław. Dzieciństwo jego przy tak licznym rodzeństwie nie mogło być lekkie, zwłaszcza, że ziemia była skalna, uboga. Toteż jeszcze jako chłopak, ledwie od ziemi odrosły, musiał sam jeździć końmi na Węgry po mąkę, kukurydzę i inne prowianty. Podróże te obfitowały w najróżniejsze przygody, a jednocześnie wyrabiały w młodym góraliku pierwsze otrzaskanie się ze światem, tak bardzo znamienne dla jego postaci. Nawiązując do swego licznego rodzeństwa Krzeptowski mawiał nieraz żartobliwie: „ej, nie było, nie było to, jak mojej mamie — miała se az telo dzieci“ (o tym jednak ile biedy i kłopotu z nimi miała, nie lubił opowiadać).

Do szkoły chodził mały Staszek na tzw. Budzówkę, polanę obok Kościeliska. Dziwna to była szkoła. Dobrowolna, bo kto chciał, to dzieci do niej posyłał, a kto nie chciał, to nie posyłał. Uczył zaś w niej jakiś miejscowy chłop, bo o nauczyciela było trudno. Nic tedy dziwnego, że Krzeptowski krzyczał nieraz na swe dzieci, które ukończyły normalną szkołę powszechną w Zakopanem: „To jo ino do takiej dziadowskiej szkoły chodził i tyle umiem, a wom jek państwowe wychowanie i naukę doł i nic bestyje nie umiecie“.

W wojsku austriackim dosłużył się Krzeptowski „Zugführera“. Po trzechletniej służbie wojskowej wrócił do domu i ożenił się z Agnieszką Walczak w Zakopanem. Miał z nią dwoje dzieci, które jednak zmarły, a niebawem zmarła i żona, tak, że Krzeptowski młodo owdowiał. Wówczas ożenił się z 15-letnią Anielą Daniel z Zakopanego. Ślub im dawał ks. Stolarczyk w starym drewnianym kościółku przy ul. Kościeliskiej. Aniela z Danielów Krzeptowska żyje do dziś dnia i ona też jest najlepszym źródłem informacji o „stryku ze młyna“ (tak bowiem nazywali górale Stanisława Krzeptowskiego Białego, którego ojciec prowadził przy gospodarstwie młyn). Z drugiego małżeństwa miał Krzeptowski dzieci siedmioro, z czego dwoje wyemigrowało do Ameryki, a pięcioro osiedliło się w Zakopanem.

Przydomek „Biały“ przybrał sobie Stanisław Krzeptowski dla odróżnienia się od jednego ze swych braci stryjecznych, również Stanisława, który — z uwagi na czarne włosy — nazywał się znowu „Czyrnym“. Przydomki te przyjęły się powszechnie i stały się nieodłączną częścią nazwiska.

W parę lat po ślubie znalazł się Biały w dość ciężkiej opresji. Na manewrach bowiem wojskowych zwrócono uwagę na tego śmigłego, postawnego, dorodnego górala i chciano go wziąć do cesarskiej kompanii honorowej. W domu powstał lament, rodzice sprzeciwili się temu absolutnie, zwłaszcza zaś matka, która ostro sprawę postawiła: „Nie lepsza ci gazdówka, nie milsza ci żona i dzieci?“ — W dodatku zagroziła synowi, że jak pójdzie do tej kompanii, to nie zapisze mu majątku. Ostatecznie Biały się wykręcił i pozostał na gazdówce na ojcowiźnie w Kościelisku.

Gazdował... to znaczy gazdówki doglądał, gdyż gospodarka jako taka nigdy go nie pociągała. „Kosić to on ta nigdy nie kosił, koniom wody tyz nigdy nie zaniósł, ani kop układać nie seł — on ta ino na ganku z lagą stoł i krzycoł na syćkik, coby robili. O, święta u nos nie było“ — opowiada żona, z miłością przecie wspominająca długie swe współżycie ze „strykiem“.

Tak, to był charakterystyczny rys Krzeptowskiego Białego: nie lubił pracy gospodarskiej, wydawała mu się zbyt szara, prozaiczna, męcząca. Pasjami natomiast lubił rybołóstwo, polowanie i niektóre rodzaje handlu. A już najbardziej chyba wesołe towarzystwo, w którym w dodatku można było sobie popić. Na polowania chodził z tej miary strzelcami, co Suleja Jędrek, Sieczka Maciej czy Maciej Gąsienica. Za rybami schodził wszystkie okoliczne potoki a i w stawach górskch łowił dość często.

I jeszcze jedna namiętność cechowała „stryka ze młyna“: choć należał do najweselszych, najbardizej towarzyskich ludzi, stawał się niekiedy samotnikiem, zamykał się w swej, własnej, osobnej izbie, do której nikomu, nawet z najbliższej rodziny wchodzić nie wolno było, — i tam spisywał swoje gawędy, bajki, wspomnienia. Przy całej rozległości swoich zajęć i zainteresowań, Krzeptowski umiał odciąć się od świata, by w samotni kościeliskiej potrącić od czasu do czasu poetycką strunę swej duszy. Ten gazda, rybak, łowca i handlarz w jednej osobie umiał niekiedy „sobie śpiewać a Muzom“. W izbie, ozdobionej głowami kozic, saren, jeleni, narodziła się niejedna gawęda, która później rozweselała ludzi.

„Stryk ze młyna“ odziedziczył po swym stryju, Sabale, talent gawędziarza, talent niebylejaki. Podczas gdy jednak Sabała, będący właściwie genialnym analfabetą, opowiadał tylko gawędy góralskie, a tacy słuchacze jak Sienkiewicz czy Witkiewicz je spisywali, Krzeptowski Biały był już pisarzem ludcwym. Oryginalne swoje gawędy i bajki nie tylko opowiadał corocznie na wieczornicach góralskich, ale również sam je pod koniec życia spisywał, względnie dyktował osobom specjalnie w tym celu wydelegowanym przez ówczesny Związek Górali. Rękopisy te przekazywał Związek Górali w moje ręce z prośbą o ich opracowanie i przygotowanie do druku.

Wspaniałą postawę miał Stanisław Krzeptowski Biały.

Długie, sumiaste wąsy, piękne bokobrody, dostojny, władczy, patriarchalny wyraz oblicza — wszystko to czyniło zeń jakiegoś wszechwładnego pana nie tylko na swej gazdówce w Kościelisku ale i w całym Zakopanem. Za humor niezrównany, gawędy i dowcipy, za rubaszność w najlepszym, serdecznym wydaniu — lubiano go jak chyba nikogo ze współczesnych starych górali. Kiedy wchodził do czyjegoś znajomego domu, do restauracji, lub np. do Banku Podhalańskiego w Zakopanem, zamykał drzwi za sobą i pukał w nie od... wewnątrz a następnie gromił wszystkich wywijając lagą:

— Czemu się Panu nie kłaniacie!?

Każdy fiakier zakopiański uważał sobie za honor podwieźć „stryka ze młyna“ — oczywiście nikt nie śmiał ani nie chciał brać za to zapłaty — Zresztą stryk, kiedy go odwiózł fiakier na miejsce, walił biedaka po plecach swoją nieodłączną lagą:

JAK ŚW. MORCIN W SKRZYPNYM MŁYNORZY WYRYKTOWAŁ

Opowiem wom teroz, ale se pozbierojcie do głowy. Było roz w Skrzypnym młynorzysko, co go nazywali Wawrzkiem Siwulokiem, a Siwulocy słyneni, jako dobrzy młynorze — z łakomstwa i przestronyk brzuchów. A ożenił sie na Zakówce z Pikowego Sobka Witką. Były to ludzie nie telo wielgie, jako w brzuchak przestrone, cobyś pedzioł, ze ąsieki — telo zerni, jak kieby dna nik nie było.

Sło im dobrze, młyna blisko nie -ło, to więcej jak z dziesięciu wsi boze mleć nosili. A wte ta pinięzy nie było, ba młynorz broł miarecke zboza abo mąki, a uwazoł po worku kieli je, to on juz wiedzioł, jaką se miarecke wziąść. Ino sie pilnowoł, coby go nik nie widzioł, kielo se tam weźnie. Jak zaś duzo bieroł, to ludzie o nim gwarzyli, ze bardzo trzęsie workami. Choćbyś był tęgo zboza da worka toporzyske naśturkoł, to kie go zemleli i przetrzęśli, to nie trza było powrózka, coby zawiązać, boś z worka węzeł zrobił, a casem i dwa. I nie byli bardzo przeklaśni.[1]) Je, ci młynorze jedli, co było — zociore, bryje, moskol, abo i samą mąke, byle wielgaśną kupe. I choć ik ludziska jak upominali i krzyceli na nik: „co se wy zarłoki myślicie aj myślicie, tak ludzkom krzywde zryć! Jak nie przestaniecie, ba tak bedziecie ludzi obzyrać, to obocycie, ze sie ludzką krzywdą udowicie.“

— Nie pomogło nic. Tak sie psiogłowce ozbuchały, co se uradzili we Świętego Morcina, swojego patrona, młyna nie zastawić (co na całym Podhalu było przestrzegane), ba se jesce uradzili zrobić bol.

Co sie nie robi — Siwulocka wcas wstała, Siwulok rąbie drzewo, nosi do izby. Mąke mieli w dzieskach, w kozdej inną. Kur duzo — ze dyć we młynie o ziorno nie bieda, to ta i kury były piekne i nieły wielgie jaja. Siwulok odcion nowięksemu kohutowi głowe (telemu, jak indyk) ale go ta nie pitwali, ino co z więksa z pierza obrali.

Idzie robota — w piecu dudni, baba sypie mąkę do puciery wielgiej, co z półtora korca do niej sie zmieściło — z jednego worka owsianą, z drugiego jarcaną, to zaś orkisową, kukurydzaną i zytnią. Pote nasoliła, naloła wody i wbiła do tego joj ze trzy kopy. Siwulok na dwók kotlickak skwarzył spyrke, na wielgim kotlicku do ciasta, na małym do klusek. Siwulocka sie wziena do miesanio — ale puciera wysoko i głęboko, nimogła poradzić. Siwulok widzi, ze źle idzie, poradził. Zodzioł odzienie, zobuł kyrpce, zrucił gacie, wjechoł cały do puciery — ze nogami lepiej wydepce. Jesce Siwulocka wloła ze dwa gorcki słodkiego mleka, a kwaśnego ze śmietaną styry, zeby zrzodło, bo było gęste. Siwulok przebieroł nogami w pucierze, ciasto furcało i trochę miękło — ona dokładała do pieca, a on co miękcejse, co sie juz ś niego mąka nie suła, podawoł babie wielgiemi bryłami. Ona waliła pięściami i zawijała, a loła do środka smolec ze skwarkami, jajami po wierchu smarowała, dodawała bobki jałowcowe, coby pochło, cynamun, pieprzu i bukowyk starvk liści, coby przykisło. Na ostatek dwa gorce miodu, coby osłodzić.

Sła robota, az sie pocili. Cały dzień nie jedli, bo nie było casu. Mioł to być bol, o jakim hrubym gazdom sie nie śniło ale robota przeciągnena sie do północy, tak ze nie było casu nie tak jeść, ale ani sprógować.

Bol był gotowy na piecu. Ale ta drzewiej nie takie piece bywały, ba wielgie. Nazywały sie biegane. Na takim piecu starzy ludzie spowali, a jak staryk nie było, to małżeństwo — a jesce sie ta i troje dzieci zmieściło.

Kie sie juz cekani oześli, Siwulok sie odezwoł urocyście do baby: wies ty staro, co ci powiem?

— Zje co — ? pyto sie zaciekawiono baba.

— Jo myśle od północy młyna nie zastawiać.

— Bój ze sie ty Boga! Dyć od północy Św. Morcina, nasego patrona — i nie ino nasego, ale syćkik młynorzy, ka jaki na świecie.

— Głupio babo... ze On w niebie, a my tutok.

— Słuchojze chłopie, kazdy swoik przywilejów pilnuje, cy wójt, cy baca, cy sołtys, a nie dopiero święty. Kiesik tu byłak u wójta śródpołu,[2]) to jesce pod pierzyną lezoł.

— A wies staro cemu? Bo mu dobrze! A jak komu dobrze, to sie leń ś niego robi, inoby próznowoł i dobrze jod. Dy pany to do połednia w łózku lezą, panie to dziwtoro[3]) to w łózku zre. Syćko robi słuzka — nie ino sprząto, ba jesce sie jej ubrać pomoze, a pote piecone mięso jedzą.

— Dyć i my momy kohuta, chłopie.

— Momy, fała Bogu! To zjedzmy go. A młyna nie zastawie, bo muse se troche odbić na młynie, boć bol kostuje.

— Wawrzuś! jo sie troche boje tego obiesia.... te, kciołak powiedzieć Św. Morcina. A wies ty Wawrzek, cy on dawno Świętym zostoł?

— Od tego casu jak młynorze nastały. Mój dziod sto roków bez jednego zył, juz młynorzem był, a nie pamiętoł Św. Morcina.

— E, to juz bardzo downo — musioł sie ta zestarzeć i bedzie na piecu lezoł — jesce sie moze pierzyną przyrucił, bo mróz, jaze okna wyrózkowane. A jo ci Wawrzuś powiem, kieby na jego miejscu była, tobyk nie wysła do pola. Kozałabyk tym mniejsym świętoskom posprzątać.

I z całym spokojem wyśli na piec. Byli bardzo głodni. Cały dzień napracowali się i wypocili, to tyz ubywało syćkiego, jak kieby holny wiater zmiatoł.

Ale ta Św. Morcin nie doł sie ocyganić. Przyjechoł na biołym koniu — przywiązoł go u bartnice, przycison za zoworkę, otworzył dźwierze — i „Niekze bedzie pokwolony“ — pedzioł.

A tu Siwuloki uwidzieli jasność i poznali, ze to Św. Morcin (bo go mieli na obrozku na śkle wymalowanego, jak do dziśka mają syćka młynorze na skolnem Podhalu). Siwulok prawie odkąsił kadłub piecowemu kohutowi i kcioł wartko połknąć... ale sie udowił. Zaś Siwulocka miała w gębie pacek umocany w miodzie, ale był teli jak oscypek i we widełkak jej stanon. Zaroz łapili słodkiej bryje, przepili, posło dalej, ale nie przejechało. Zaceni becéć niedźwiedzim głosem. Ocyska im wypucyło na wierk jak króźliki[4]) — stulali sie z pieca na ziem, zaceni wkoło po izbie na ćwiorakak jeździć.

Święty Morcin straśnie sie z pocątku cudowoł, nokiela nie obocył, co sie stało. „He! trzystaście wy djasków zjedli aj ziedli — łakomce, zarłoki zatracone! Ludzie wos przecie upominali, cobyście nie zarli telo ludzkiej krzywdy, bo sie udowicie.“ — Kie popluł gorzcie — obrócił święcone bicysko — (a nie słabe mioł), jak zacon Siwuloka po grzbiecie jeździć a Siwulocke po zadku kurzyć.... Siwuloki odrazu objechali na ćwiorakak zę styry razy izbe dokoła. E, poznali ze ze Świętym śpasów nima — przeskocyli próg do młynice — a Święty wali po zadkak. Wyjechali do pola becęcy.

A Święty Morcin ino im telo na scęśliwą droge powiedzioł: „Ozkazujem wom od Pana Jezusa, cobyście zarłoki po lesie pozywienio sukali i tam sie mnozyli jak niedźwiedzie“.

Od tego casu kozdy górol wie, ze niedźwiedzie pochodzą z młynorzy.

A jo som ta uwazuje, ze ono ta tak bedzie, a nie inacej.

---

1) przeklaśny = grymaśny 2) śródpotu = przed południem 3) dziwtory = niektóry, ten i ów 4) króźlicek = drewniane naczynie na masło lub bryndzę w formie małej bryłeczki.

SABAŁOWĄ

— No, beskurcyjo jedna, dopłać mi za to, żeś mnie wiózł!

Kiedy przyszedł do szynku, a zdarzało mu się to dość często, przysiadali się do niego górale, aby godzinami całymi słuchać jego kapitalnych, niewyczerpanych „gadek“ i dowcipów. A stryk nie lubiał siedzieć, tylko chodził bezustannie z kąta w kąt, gwiżdżąc sobie przeróżne melodie, wywijając i gestykulując lagą na przemian. Przychodził bardzo często do restauracji prowadzonej przez moich rodziców; całowaliśmy go wszyscy w rękę, wówczas nie wiele odrośli od ziemi, bo był dla nas stryjkiem rzeczywistym. A stryk gonił nas ze swoją lagą po wszystkich kątach.

A gawędy, słynne jego gawędy! Warto było go posłuchać — kiedy corocznie niemal opowiadał je na wieczornicach góralskich w sali „Morskiego Oka“ w Zakopanem. Siadał na krześle w wspaniałym stroju góralskim z nogami szeroko rozstawionymi, z ciupagą w ręku, z flintą na ramieniu, ze skrzypkami pod bokiem. Opowiadał z taką swobodą, z taką swadą, z taką pewnością siebie, że życzyć by tego należało niejednemu zawodowemu artyście. A sala nabita po brzegi, trzęsła się od śmiechu i od oklasków.

Pomimo ciężkiej choroby (wrzód na żołądku, reumatyzm), do ostatniej chwili życia towarzyszył Krzeptowskiemu towarzysz najwierniejszy i nigdy nieodłączny: humor. Ostatni rok przeleżał w łóżku, ale gdy ktoś mu wspomniał o śmierci, wtedy stryk wskazywał na flintę nad łóżkiem:

— Niech sie mi ino pokoze w oknie ta kościsto... he, he! ...juz ta jo jej poradze.

Dzień przed śmiercią kazał przywołać do łóżka obu synów a żonie na ten czas wyjść z izby. Gdy synowie weszli, kazał im ukleknąć przy łóżku i powiedział tak: „Ty, Stasek, jesteś najstarszy z dzieci, mos syćkik w domu doglądać i syćkimi sie opiekować. A teroz mówie do wos obu: zapamiętojcie se, ze jak który z wos ukrzywdzi kiedy matkę, to wos jasny pieron z nieba zabije!“.

Nazajutrz zawołał z rana żonę i powiedział jej, że dzisiaj umrze. Żona nie wierzyła w taką możliwość, zwłaszcza, że humor trzymał się chorego do ostatka. Stryk kazał sie na pożegnanie pocałować, a kiedy żona pocałowała w lico — powiedział, że to nieważne:

— Pocałuj ze mnie tak, jak babie chłopa przystało: w gębe.

Tegoż dnia rzeczywiście ducha wyzionął, a było to 15 marca 1932 r.

Pochowano Stanisława Krzeptowskiego Białego przy udziale licznych rzesz góralszczyzny na nowym cmentarzu zakopiańskim.

Spuścizna literacka „stryka ze młyna“ jest niewielka. Obejmuje ona sześć gawęd oraz jedno dłuższe opowiadanie pt. „Na Harendzie u Ciaków“. Jest ono niezwykle ciekawym obrazkiem obyczajowym z życia górali. Niektóre sceny odzwierciedlające np. patriarchalny stosunek bacy do juhasów, mają dzisiaj wartość dokumentu. Nie brak też wybornych opisów zrękowin, wesela, prządek wieczornych itp.

Tematyka gawęd jest również ściśle związana z życiem górali, przy czym ze szczególnym zamiłowaniem maluje w nich Krzeptowski to, co go najbardziej pasjonowało: polowanie, przygody w górach, utarczki graniczne ze strażnikami węgierskimi, wyprawy zbójnickie, awantury domowe na tle pijaństwa itp.

Wybitną, niekiedy dominującą rolę w gawędach odgrywają postacie świętych: Pana Jezusa, patrona myśliwych św. Huberta, patrona młynarzy św. Marcina, patrona od nieszczęśliwych wypadków św. Jantoniego, św. Pietra - Pawła, do których Krzeptowski podchodzi bardzo po ludzku (niekiedy może nawet za bardzo).

We wszystkich sześciu gawędach pisanych, sądzę, z niezaprzeczonym talentem i okraszonych nieraz dobrej klasy humorem, śledzić można wnikliwie przekroje psychologiczne — „stryk ze młyna“ znał dobrze duszę górala! Tu i ówdzie napotykamy na ustępy dość frywolne, dalekie jednak od trywialności, która była obca gaździe z Kościeliska.

Na jedno jeszcze wypada zwrócić uwagę: gawędy Krzeptowskiego zawierają prawie zawsze pewien sens moralny, pewną naukę, ostrzeżenie. Morały te jednak podane w dowcipnej formie, na pewno nikogo nie zanudzą. Powiedzmy sobie szczerze: „stryk“ pisał nie po to, żeby ludzi umoralnić, lecz po to, żeby bawić, rozweselać. Sądzę, że to zadanie udało mu się w pełni.

Z dorobku Stanisława Krzeptowskiego Białego ogłosiłem dotychczas trzy gawędy („Prosto z mostu“ rok 1938 nr 26, „Wieś“ r. 1946 nr 25). Dzisiaj podaję do druku pozostałe. „Recepta na pijoków“ nawiązuje do powszechnej niestety na Podhalu plagi pijaństwa i podaje bardzo skuteczny sposób na „nawrócenie“ pijaka. Gawęda ta, opowiadana często przez Krzeptowskiego na wieczornicach góralskich, wywoływała zawsze salwy śmiechu i cieszyła się wielką popularnością. Gawędy „Jak św. Marcin w Skrzypnym młynorzy wyryktowoł“ ukazuje nam niezwykle plastyczny obraz młynarza wyzyskiwacza, którego bezgraniczna chciwość została należycie choć niespodziewanie ukarana.

Zarówno gawędy jak i opowiadania są pisane w gwarze znacznie już unowocześnionej. Trzeba bowiem pamiętać, że Krzeptowski pisał blisko pół wieku po śmierci Sabały, że tkwił mocno w życiu nam współczesnym, że dyktował swe gawędy w latach 1930-32, kiedy to gwara górali z Zakopanego i najbliższych okolic zbliżyła się mocno do języka literackiego. Niemniej jednak napotykamy u Krzeptowskiego sporo pięknych i oryginalnych wyrażeń gwarowych, dziś już w dużej mierze zaginionych lub zepchniętych do najbardziej zapadłych wsi podhalańskich.

Stanisław Krzeptowski Biały umarł, ale zostało się po nim skromne dzieło pisarskie; skromne rozmiarami i aspiracjami, jednakże dostatecznie piękne i oryginalne, aby „strykowi ze młyna“ zapewnić w polskiej literaturze ludowej trwałe miejsce. Gawędy góralskie gazdy z Kościeliska czekają na wydawcę.

Włodzimierz Wnuk



Krzeptowski Biały

RECEPTA NA PIJOKÓW

W Zakopanem u Wojdyłów żyje bardzo a bardzo ućciwy gazda. Ale go ludzie nazywają starym zbójnikiem. Na starość sie poprawił, a za młodu? He! za młodu jak ta było to było, ale no herctak nie siedzioł bo mu wse Pon Jezus błogosławił. Ludzie o nim cęsto wspominają — on to, ten Michoł Mocarny, dobry chłop był, kiedy mu ino Pon Jezus na drugim świecie dziesięć odpuścić racył.

Biednemu nigdy nomniejsej krzywdy nie zrobił — ba go jesce zratowoł. E! bo sie ta i jego za młodu bieda seliniejako[1]) dość nacubrzyła[2]). Gruntu nie było, a tu ociec i matka starzy, nie robili nic. Siostra sietniok[3]) — co ledwo grul uskrobała. Brata poraziło, co z pościele nie śloz — trza było syćkik wyzywić coby z głodu nie skapali.

Wte Michoł Mocarny przeżegnoł sie Krzyżickiem Świętym, smówił pociorek do Św. Jantoniego, patrona złodzieji — zdychnon pobożnie do Pon Jezusa.... broł pistolec i nóż za pas, torbe na plecy, ciupage do gorzci i poseł do Luptowa zbójnickim chodnickiem. Nie trzeba mu było marśruty na papierze. Ale nie lubił, coby mu fto przeskodzoł w jego robocie. A on broł: Żydowi, ślachcicowi, kupcowi albo hrubemu gazdowi (bo do biedoków nie chodził). A ze go Opatrzność talentem obdarzyła, to umioł posukać wsędy — w kómorze, w skrzyni, w kuferkak, w sklepie, w sypańcu,[4]) ze wsędy, ka sie dało. Nawet zydkom popod głowy, jak spali. Bo ta jakiesi cary umioł, co sie nie kozdy zydek obudził. Ale uchowoj Boze, jakby sie wto odwozył spytać, cego suko? Takiego huncwota zaroz na drugi świat wysyłoł..... bo śpasów nie znoł.

A rozumowoł tak: ze go Pon Jezus poto stworzył, coby sprawiedliwie dzielił. Nie roz nom godoł tak: „Kiby to ciorci byli, aj byli, coby jeden telo potrzebowoł, a drugi z głodu umieroł — kielo by sie to biednych ludzi zratowało, coby ino sprawiedliwie podzielić“.

Z początku krod, bo musioł... z miłości ku starym ojcom, ku bratu i siostrze, coby głodową śmiercią nie pomarli. A pote? Se ta krod i krod z przywycajenio.

Nieroz nos dziadami nazywoł „— He! dziady krotne... dziś nima między wami takik śmiałyk i mocnyk chłopów. Dyć kieby wom lenie (uchowoj Boze) zycio wozami, kolejami nie dowozili, tobyście syćka z głodu pomarli. Ale drzewiej, kie nom zycio chybiło, to wom powiem, ze my tak do Luptowa, na Śpis i Orawe śli, jak na Stare Hory na odpust. Cysto my kcieli Węgry obrabować. Pojeden sie ta i do hareśtu dostoł, dziwtorego dobili i zabili, ale mnie wse Pon Jezus błogosławił. Nijakim świate sie nom Węgry nimogli ognia Kie juz pote porobili zelazne dźwierze do komór, do sklepów, do sypańców, abo ka mieli dudki, spyrke i drogse rzecy schowane, to juz myśleli... ho-ho-ho! co to juz mają, ze sie nik do nuka nie dostanie. Ale dobre mu chłopu to nie płaciło nic. Załozył zelazną śtange do spodku — to tak zagion dźwierze do góry jak babie spódnice“.

Umar Mocarnemu ociec i matka ze starości, brata i siostre tyz Pon Jezus ku sobie powołoł. Michoł syćkim piekne pogrzeby sprawił, za dusycki gorzć talarów zaniós, drugie telo talarów obiecoł. Teroz se dopiero gruntu i bydła nakupił, budynki nowe pobudowoł i jesce sie mu spory kotlicek złotyk luptowskik dukotów zwysył.

Pote sie ozynił z Hanką ze Zahradzisk po rabsicowi Tylce. Ale go ta nie uscęśliwiła — potomka sie nie docekoł. Zacon tyz coraz cęściej do karczmy na Harcownie zazierać — była hań dość fajno kośtyga,[6]) to sie do niej przymiloł. A jak wypił pietnoście do dwudziestu kielisków „sabałówki“, wracoł nieskoro do chałupy i babe kijem okładoł.

Cierpiało babieńcisko pokiel mogło — ale przysły kumoski na prządki wiecorne i poradziła sie, jakoby Michała ku Panu Jezusowi nawrócić

He! Kumoski na to, jak na lato. Ukwoliły samoobrone i syćkie pocekały zakiela kumoter z karcmy przydzie. Kazdo sie uzbroiła w tęgi kij — i pokryły sie pod pościel, pod piec, do sofy i przykręciły lampe Przykazowały zaś kumosce, coby ino trzymała, choćby tęgo bił, a jakby juz dotrzymać nimogła, coby zawołała: „Święte patronki, ratujcie mie!“

Przyseł długo oczekiwany kumoter po północy, pijany tocający się. Łap babe za łeb... wali kijem po zadku jaz sie kurzy. E! dopiók babsku!!!

Jak ci ta krzyknie: „Święte patronki ratujcie mie!!“ — E! wom powiem, ale mi nie uwierzycie — kie wyskocyły, jak zaceny kijami prać — nie śpasowały, to sie jaze po Giewoncie rozlegało, A zakiela sie biedok ostoł, to sie osfurkły, co zodnej nie widzioł. Babuśce sie zaś luto zrobiło swojego kochanego chłopa i wylała ze trzy putnie wody zakiel sie ostoł.

Wtedy to Michoł Mocarny piersy roz klęknon na kolana, ale bardzo na sumieniu skrusony, obłapił babe za nogi i pedzioł: „dziękujem ci moje ostomileiso babecko, ześ nie zawołała Św. Orsule z towarzyskami swojemi — bo to pono okropny kyrdel. Te by mnie juz pewnie zabiły. Ale ta i twoje patronki, ciorności one... kciołek pedzieć: Panie nie roc pamiętać na moje ciężkie grzysiska — miały stalowe ręce. I kebyś mnie nie ty broniła, wto wie, coby semną było“.

Od tego casu nima na Skalnym Podhalu tak porządnego gazdy. Ten ci do karcmy nie wejdzie — a choćbyś mu tysiac rynskik dawoł, to sie kieluska wódki nie chyci.

A wy parobcoki — co to mocie wstręt do kieluska, ba wolicie z flaski, to se zapamiętojcie... coby wos kie tak delikatnie ku Panu Jezusowi kumoski nie nawracały.



---

1) seliniejaki = wszelki 2) cubrzyć = szarpać za włosy, nękać kogoś. 3) sietniok = ułomny kaleka 4) sypaniec = piwnica w ziemi (lub nasyp na ziemi) np. na ziemniaki. 5) do nuka = do wnętrza, lub środka. 6) kośtyga = flirciarka.

Alfred KALINKA

KOLĘDOWAĆ MAŁEMU...

...A w ów wieczór, według starego obyczaju nazywany szczodrym, skoro się tylko zapaliła na niebie Gwiazda Betlejemska, zaścielano stół wigilijny sianem pachnącym, wróżebnym, nakrywano obrusem i kładziono nań rozmaite pokarmy, wśród których, z ruska, naprzód kuitę czyli pszenicę z makiem i miodem i obok cieniusieńkie opłatki. Ledwo nie do pułapu unosiła się smakowita woń przypraw, imbiru i goździków, muszkatu i rodzynek. Ksiądz jegomość błogosławił i święcił dary Boże, a w progi, umajone jedliną, już cisnęli się kolędnicy z wertepem, alias szopką błyszczącą jak tęcza. Ku tym światłom na firmamencie rwała skrzydlata pieśń, zrazu rozpłakawszy się rzewnie w przyćmionej piekarni, między czeladką, potem ukoiwszy się, rozradowawszy, altem - basem podciągana, aż się w kagańcach i lampach płomień i szyby trzęsły w oknach, niby osiczyne liście. Precz, gdzie pieprz rośnie piekielny, umykały potrwożone czarty, biesy wszelkie domowe i pospolite, czerwone pachołki Belzebuba-Muchawca, Dypryny, Paskudy i Rozboje, Gorzady, Szerńce i Osmołejki. Ostawał się li jeden kutergęba Kofel i ten kąty wycierał, pocieszając się nadzieją, że człowieka, który się właśnie cieszy Dzieciąteczkiem, przywiedzie do sromoty, do pijaństwa. Ale niedoczekanie twoje, czorcie! Nie masz dziś przystępu do ludzi. I nawet do bydląt. Bo w stajni albo w oborze też dostaniesz odprawę, jak należy. Drzew w sadzie, okutanych w słomę grochowinową, ani tknąć. Ziemia dla ciebie macocha, śpiąca pod popiołem z kłody narodzeniowej pokaleczy ci kopyta.

Rży bies i przytupuje z alternacji, klnąc całkiem sprośnie. Teraz odmiótł chwostem kupę śniegu przyzporą i patrzy, i dziwi się. By ogromne rubiny i chalcedony, rozjarzyły się we wsi i mieście źrenice domów. Promienieją weselem. Dies est laetitiae. W izbach koło komina, w czeladnych koło przypiecka, zebrali się chłopcy i organista, wąsaty Miechodmuch, wodzirej. Pucułowate dziewczęta ścigają się do zydla, gdzie zasiadł Pleban: która go pierwsza dopadnie, ta wierzy, że się po Nowym Roku pierwsza wyda za mąż. Zaś do bajbaka bakałarza na poddaszu wgramolił się durny szlachciura, brząknął dukatem i

— Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę, powiada — amoroso, — powiada, — w sposobie miłosnym, dla jednej panny, dla której mam afekt i postanowienie. Skomponuj mi waćpan i napisz na welinowym papierze, rozumiesz? Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowi. Strzałka srebrna, mociumpanie, prze szywająca na wylot. Pod spodem miejsce na podpis i jakieś łacińskie symptoma. [1])

Owa! Bądźże tu czartem, czarcie, kiedy Ci się nie wolno akurat dzisiaj wtrącić do spraw miłosnych, wiadomo, od wieka animujących każdego diabła. Bodaj to! Na domiar kołyszą się i dzwonią z bliska i z daleka dzwony do wtóru chórom anielskim i tak śpiewają słodkimi głosami:

Chrystus Pan się narodził,
cały świat się odmłodził
et mentes.
Nad sianem, nad żłobeczkiem
aniołek z aniołeczkiem
ridentes.
Przyleciały wróbelki
do Panny Zbawicielki
cantantes,
przyleciały łańcuchy
łabędzi, srebrne puchy
mutantes.
Puchu wzięła troszeczkę
zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku,
potem je położyła
i sianem je nakryła
w żłobiątku. [2])

*

Naród Polski, z mroków pogaństwa do wiary Chrystusowej przyprowadzony, długo duszę swoją przekształcał i po mału odwykał od przesądów, jakie miał drzewiej. Kościół był wspaniałomyślny. Pozwolił bo na dzień obchodu Słońca, słowiańskie zimowe kalendy, przenieść Święto Pańskiego Narodzenia i Trzech Króli. Mijały więc te świątki przy zachowaniu pradawnego obyczaju, jak objat z kokoszy czarnych, jak chodzenia z kozą, jak igr i zabaw powszechnych, wróżb, przebierania się, tańców, do których pilno i młodym i starym. Dopiero Synod Poznański w 1420 zakazał surowo przebierania się za niewiasty i zwierzęta, żeby zapobiec zgorszeniu. Ale ocalały wróżby, zwłaszcza, że dotyczyły upragnionego urodzaju i towarzyszyła im szczodrość wobec stworzenia. Jeszcze w w. XVII śpiewano na pamiątkę pieśń kmiecą „Darował nas pan gospodarz". Do dziś dnia śpiewają w Bronowicach pod Krakowem o Złotym Kielichu, jako znaku owej szczodrości. Dokonywała się jednak równocześnie przemiana w ludziach, skłonnych z natury do uczuć podniosłych i tkliwych. Za ostatnich Piastów i za Jagiellonów pleban nawoływał z ambony do rzewnego współczucia z ubóstwem Betlejemskiego Żłobka. I przytaczał Ewangelię za Łukaszem: „Toć ubogi królewic był, iże nie miał, gdzieby swoją głowę podkłonił, tegodla przed wołem a przed osłem w jasłkach, bo Dziewica Maria aż pieluszek dobrych nieimiała a tego dla ji we złe chustki ogarnęła. Naleźli ji pannis [3]) ogarnionego a w jasełkach położonego" [4]).

Albo:

„A przez to, grzeszny człowiecze, chceszli ty to wiedzieć, kakoli Chrystus jestci był ubogi w tento czas, gdyżci był ubogi w tento czas, gdyżci się narodził? A napirzweć był w domiech ubogi, iżeć żadnego pieniążka w tento czas nie miałci, gdyżci się narodził, a to cóżbyś sobie, gospodarzu, zań najął, a przeztoć się w chlewie, w pospolitem domu narodził. Wtóreć jest w odzieniu ubogi był, o przezto prostem suknem obwinion był tako, iżci Jego Matuchna Maria takoż w tento czas uboga, iżciżeć jednego kożuszka nie miałać, a to cóżciby przed zimnem przykryła. Trzecieć, Chrystus we strawie tako ubogi był, iżeć jedną dnia trochę mleka używał. Czwarteć, w pościeli tako ubogi był, iżeć najmniejszej pierzynki nie miałci w tento czas, gdyżci się narodził, aliżeć Jego Miła Matuchna Maria trochę siana w jaśli podeń podłożyła" [5]). Poczem pleban intonował kolędę. Pleban albo kolędnicy.

Z początku zawierała kolęda samą treść świecką, nie związaną z Bożemnarodzeniem, lecz stopniowo zmieniła się razem ze społeczeństwem. Treść wyłącznie świecka, ukłony pieśni w stronę hojnych gospodarzy, napraszanie się o upominki, życzenia obfitości w polu i w ogrodzie wzbogacały pomalutku zwrotki i rotuły o pastyrkach betlejemskich, o stajence, o żałosnym ochędóstwie dokoła Syna Człowieczego. W formie, którą dziś znamy, zapanowała o wiele później od pieśni wielkanocnych, w każdym razie wtedy, kiedy powstał zwyczaj żakowski wędrowania po domach z jasełkami i Gwiazdą. Najsędziwsza prawdopodobnie jest kolęda-inwokacja plebańska z r. 1424-go „Zdrów bądź, królu angielski" i „Stać się rzecz wielmi dziwna" z trójwierszowym refrenem „Radujmy się, weselmy się, w Betlejem, małem mieście, Bóg narodził się". W kancjonale Przeworszczyka z r. 1435 znajdujemy już kolędę gminną „Chrystus się nam narodził". Krążył również wśród ludu bezlik zapożyczeń z łaciny, przeróbek i tłumaczeń, jak na przykład przypisywana Grzegorzowi Wielkiemu sekwencja na kuropienie „Dziękujmy wszyscy z tej Bożej dobroci". Zbliżały się w nastroju do kolędy i niektóre Pieśni Maryjne, pełne czystości, szczerości i prostoty wysłowienia. Ich wątkiem przeważnie Zwiastowanie, choć w kolejnych zwrotkach przybywa motywów jasełkowych („Maryja, czysta dziewice", „Mocne boskie tajemności", „Zdrowaś Gwiazdo Morska" i „Wesel się, Królowo Niebieska".) Do tych kolęd ze Średniowiecza doszła później uroczmaicona pieśń Wieku Złotego („Nastał nam dzień wesoły Narodzenia Bożego"), zapowiedź kantyczek bogatego baroku i tej najpiękniejszej:

„W Dzień Bożego Narodzenia".

Błyszczy na cichym niebie Gwiazda i budzimy w sercach rzewność, bo święcimy przecież zbożną a niedocieczoną Tajemnicę Wcielenia. Nie mieszamy do naszego wzruszenia ani goryczy nostalgii, ani trwogi dni okupacyjnych, ani żałoby po najbliższych. Kolędujemy u Drzewka.

I jest, „jak bywało w wertepie wigilijnym, z gwiazdą złotą, z pastuchami, z kolędą, kiedy wszystko to się pozbierało w krzemienieckiej piekarni u dziadunia, kiedy mama za dziaduniem podciąga srebrnym sopranem kolędę, a za nimi my wszyscy razem, i babunia, zawsze z innej nuty, i Teofil profundowym basem, i młody wuj Jaś wtórujący, i pan Paweł Jarkowski swoim drżącym, nieśmiałym tenorem, i nasz wierny Ambroży mruczandem, i na koniec cała czeladka" [6]).

Alfred Kalinka

[1]) Juliusz Słowacki, Złota Czaszka (I, 1).

[2]) j. w.

[3]) chustami.

[4]) kazania świętokrzyskie.

[5]) Kazania.

[6]) Wołoszynowski, Słowacki.

Powieść Maupassanta

Jeden z dwóch synów paryskiego jubilera, na skromnej rencie dożywającego swych dni w Hawrze, dostaje niespodziewany spadek. Spadkodawcą jest dawny przyjaciel rodziny, bogaty stary kawaler. Zapisanie majątku tylko jednemu z synów rodzi w głowie drugiego podejrzenia, które po długich obserwacjach, przemyśliwaniach i wahaniach przechodzą w pewność: syn-spadkobierca jest synem starego przyjaciela rodziny. I tu zaczyna się dramat syna, który do matki miał bezgraniczne zaufanie, dramat kończący się ruiną jego projektów życiowych, matki, która to poznaje i dramat drugiego syna, który dowiaduje się o swoim prawdziwym ojcu. Oto temat powieści „Piotr i Jan" Guy de Maupassanta. *)

Myliłby się kto by sądził, że Maupassant jest biernym tylko obserwatorem zjawisk życiowych, że jako konsekwentny wyznawca naturalizmu nie zajmuje względem nich żadnego stanowiska. Być może, dążył on do tego; ten jednak naturalistyczny ideał nie bardzo jest możliwy. Wszakże już sam wybór tematu jest zajęciem stanowiska i on ukazuje w Maupassancie nie tylko człowieka wrażliwego na ludzkie cierpienia, ale i surowego krytyka mieszczańskiej moralności. Skąd bowiem wynikła, co było przyczyną tragedii tych trzech osób? Oto matka dwóch braci za młodu została wydana za człowieka, którego nie kochała, lecz który był względnie bogaty.

Mistrz noweli nie zawiódł w krótkiej powieści. Mamy możność podziwiania tu całej kunsztownej techniki artystycznej Maupassanta. Logiczna, kryształowo jasna, bez żadnych zbędnych zaciemnień, a mimo tego zdawało by się szarego tematu pasjonująca akcja, prostota stylu tak bardzo harmonizująca z treścią, wreszcie niezwykle sugestywna, wnikliwa psychologicznie prawda zdarzeń i charakterów czyni ten dramat mieszczańskiej rodziny końca ubiegłego stulecia dla dzisiejszego czytelnika bardzo zrozumiałym.

JOP

*) Guy de Maupassant: Piotr i Jan. Książka i Wiedza 1950. Przełożył J. Rogoziński. Okładkę projektował Antoni Uniechowski.

Jan i Hieromin THARAUD

O zakonniku, który chciał zobaczyć Najświętszą Pannę

(z legend średniowiecznych)

Tym, którzy twierdzą, że nic nie zastąpi radości oglądania świata i rzeczy stworzonych przez Boga, opowiem historię zakonnika, który gotów był nawet umrzeć za szczęście oglądania przez chwilę Tej, która jest chwałą ziemi i nieba, Pani naszej Maryi.

Pewnego dnia klęcząc przed Jej wizerunkiem, zakonnik mówił Matce Bożej, jak tyle razy przedtem, że niczego tak nie pragnie, jak możności zobaczenia Jej nie pod postacią nieudolnie wyrzeźbioną w drzewie czy kamieniu, lecz taką, jaka była w rzeczywistości.

— Mój synu — odpowiedział nagle posąg — zabrać cię ze świata nie mogę, bo o tym dec duje wola mego Syna, jeżeli jednak chcesz Mnie zobaczyć, to musisz wiedzieć, że kto uzyska ten przywilej, utraci wzrok natychmiast.

— Oh! — krzyknął mnich przepełniony radością — któż nie zgodziłby się w zamian za podobne szczęście utracić światła swych oczu!

Ale jak każdy, kto choć myślami szybuje wysoko w niebiosach, jednak wielu nićmi związany jest z ziemią, tak i nasz mniszek, który nie był tak obojętny dla świata, jak sądził, — zakrył ręką jedno oko, a drugim patrzył uważnie.

*

Nikt nie zdoła opisać tego, co zobaczył. Królowa Niebios ukazała mu się w swej szacie koloru pogodnej nocy, usianej gwiazdami, w otoczeniu swego dworu niebieskiego, z orszakiem aniołów. Ale widzenie przeszło jak błyskawica, pozostawiając młodego zakonnika olśnionego i bardziej nieszczęśliwego niż przedtem, bo widok Najświętszej Panny wzmógł tylko jego pragnienie oglądania Jej ponownie.

Na szczęście pozostało mu jeszcze oko zakryte uprzednio ręką.

— Królowo piękności — krzyknął — niech stracę i drugie oko, ale pragnę widzieć Cię raz jeszcze!

— Spójrz więc jeszcze raz — jeżeli mój widok sprawia ci tyle szczęścia — rzekł posąg.

Tym razem zobaczył Maryję pod postacią biednej kobiety z ludu, takiej jakich wiele widzi się na każdym gościńcu, ale w Jej twarzy było tyle boleści i litości, że znów brakuje słów dla ich wypowiedzenia.

Widzenie znikło zostawiając tym razem zakonnika w zupełnych ciemnościach.

— Królowo litości — wyszeptał po chwili, wybacz mi mój podstęp, ale w ten sposób zobaczyłem Cię jeszcze piękniejszą, jeżeli to być może, w Twym poniżeniu, niż w Twej chwale!

Posąg mu odpowiedział:

— Wybaczam ci, mój przyjacielu, twoją niewinną przebiegłość. A ponieważ mnie tak kochasz, oddam ci to, co zabrałam.

I zakonnik odzyskał wzrok, a wszystko koło niego wyglądało tak, jakby cudowne widzenie było snem.

*

Ale do czego mogły mu już na świecie służyć oczy, które oglądały Królową Nieba?... Przyjąwszy Komunię św. nie chciał nic jeść ani pić. Trzy dni leżał nie poruszając się, z zamkniętymi oczyma. Poznano, że umarł wtedy, gdy otwarły się jego oczy, które już niczego widzieć nie mogły.

tł. M. D.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr 1-727. Sekretariat redakcji przyjmuje codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Druk W. Z. G. Oddz. 01, Warszawa, Tamka 3. Zam. 4943. B-133547.